Nr. 47. Poznań, Niedziela 18-go Listopada 1900 r. Rok IV.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie 1 markę; na poczcie w Austro-Węgrzech 59 cent.
Pod opaską: w Niemczech 1,65 mr., w Austro-Węgrzech 1 złr., za Oceanem 1 dolar.
Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 295.

Kolonie polskie w Niemczech.

Nie zamierzamy tu podnosić znaczenia tych kolonii, ponieważ niejednokrotnie — i to nawet w ostatnich czasach — rozwodziliśmy się obszernie nad znaczeniem kolonii polskich w Niemczech, a więc tych centrów wychodźtwa, które leżą niejako najbliżej nas, a z tytułu stosunków politycznych i ekonomicznych istnieje między niemi a krajem niejako stała wymiana ludzi.

Kilkakrotnie już starano się zebrać pewne dane co do liczebności, warunków ekonomicznych i socyalnych naszego wychodźtwa w Niemczech, a to w celu wykazania, w jaki sposób wychodźtwo to mogłoby być użyteczne dla kraju. Wszystkiemi usiłowaniami temi kierowała myśl przewodnia, że wychodźtwo nasze (mówimy tu o wychodźtwie w głąb Niemiec) nie jest dla kraju zupełnie straconym posterunkiem — że owszem może być ważnym czynnikiem w rozwoju naszej narodowości pod zaborem pruskim.

I nasza redakcya, chcąc zgromadzić odnośne wiadomości, a kierując się powyższą myślą przewodnią, *poświęci specyalny numer wychodźtwu polskiemu w Niemczech* i dorzuci w ten sposób wiązankę nowych szczegółów z życia naszej emigracyi.

Towarzystwa polskie na obczyźnie, do których zaapelowaliśmy po materyał, dotyczący ich rozwoju, nadesłały nam już nader obszerne korespondencye, referaty, sprawozdania itd., a *towarzystwa, które dotychczas tego nie uczyniły, niechaj pospieszą z daniem nam wiadomości o sobie.*

Wiadomo, jak ważnym czynnikiem w życiu naszej emigracyi na Zachodzie są towarzystwa i związki wszelkiego rodzaju. Należy zatem krok jeden dalej zrobić na polu obliczania sił naszych: mimowoli nasuwa się myśl, że *pożytecznem byłoby dziełem przeprowadzenie ankiety statystycznej, obejmującej wszystkie towarzystwa polskie w Niemczech.* Uwzględniając obfity materyał nadesłany nam przez towarzystwa do numeru specyalnego i zachęcony gotowością, z jaką rodacy na obczyźnie zgłosili się z informacyami, przeprowadzeniem takiej ankiety zajął się Dr. Kazimierz Rakowski i rozpoczął już — w miarę nadchodzenia adresów towarzystw wysyłkę następującego kwestyonaryusza, który każde towarzystwo polskie na obczyźnie sumiennie wypełnić powinno, w ten sposób bowiem zgromadzi się materyał, na podstawie którego dopiero w cyfrach da się określić znaczenie naszej emigracyi dla kraju.

Nadmienić tu wypada, że w ustanowieniu pytań do kwestyonarjusza kierował się Dr. Rakowski podwójnymi względami:

Popierwsze — chodziło o wykaz, ile towarzystw polskich w Niemczech istnieje i ilu liczą członków.

Powtóre — chodziło o zebranie dat dotyczących ekonomicznego stanu naszej emigracyi — a więc w jakich przedsiębiorstwach Polacy pracują, — czy mają własne przemysłowe i handlowe zakłady i t. d.

Potrzecie — chodziło o wykazanie wpływu emigracyi na narodowość.

Do tego podwójnego rzędu więc należą stawione w kwestyonarjuszu pytania. Rzecz naturalna, że o ile które z towarzystw, oprócz żądanych w ankiecie informacyi, mogłoby dalszych i obfitszych szczegółów dostarczyć — tem chętniej będą one przyjęte.

A oto kwestjonarjusz. Składa się on z 21 pytań:

1. Nasze towarzystwa?
2. Miejscowość?
3. Nazwisko prezesa i sekretarza?
4. Ilu członków liczy towarzystwo?
5. Czy posiada bibliotekę? Ile tomów?
6. Jakie prenumeruje pisma?
7. Jak często odbywają się zebrania i gdzie? (ulica i nr. domu posiedzeń).
8. Kiedy towarzystwo zostało założone?
9. Jaki był najładniejszy odczyt? (wymienić kilka tytułów).
10. Ilu członków towarzystwa ma swoje własne przedsiębiorstwo przemysłowe lub handlowe?
11. Wielu jest zatrudnionych w przedsiębiorstwach *nie własnych?*
12. Ilu jest pracujących w takich przedsiębiorstwach, których w kraju rodzinnym niema. Wyszczególnić rodzaje tych przedsiębiorstw. Np. fabryka narzędzi chirurgicznych, fabryka aksamitu, wstążek, wyrobów skórzanych, lamp, huta szklanna, kopalnia wegla?
13. Ilu członków po raz pierwszy zaznajomiło się dopiero na obczyźnie z gazetami polskiemi?
14. Ilu członków zamierza wrócić do kraju w przeciągu najbliższych lat trzech?
15. Ilu członków wyemigrowało
    a) z Poznańskiego?
    b) z Prus Zachodnich i Wschodnich?
    c) ze Śląska?
    d) z Król. Polskiego?
    e) z Galicyi?
16. Ilu wyemigrowało po ukończonym 30-ym roku życia?
17. Ilu przebywa na miejscu, już dawniej niż do pięciu lat?
18. Ilu się ożeniło na obczyźnie?
19. Ilu się ożeniło z Polkami?
20. Ilu członków towarzystwa urodziło się na obczyźnie?
21. Ilu członków wyemigrowało ze wsi, a ilu z miast?

Jak powiedziano wyżej, pożądanemi będą informacye i dalsze. Np. ilu członków jest zabezpieczonych na życie? Ilu

członków towarzystwa już obecnie osiadło na stałe w kraju i t. d.

Kwestjonarjusz ten w tych dniach zaczął autor rozsyłać. Zbytecznem byłoby dodawać tu, że nie wątpimy, iż towarzystwa nasze na obczyźnie potrafią ocenić doniosłość podjętej pracy i najskrupulatniej cyfr żądanych dostarczą. O stanie spraw i postępowaniu robót dotyczących tej ankiety, będą czytelnicy naszego pisma w swoim czasie informowani. Które towarzystwo nie otrzymałoby formularza do wypełnienia przed Bożem Narodzeniem, raczy podać swój adres do naszej redakcyi, lub wprost do *Dr. Kazimierza Rakowskiego, Lwów (Lemberg — Galizien — Oesterreich) ulica Pełczyńska 1. (Towarzystwo wydawnicze.)* Niemniej uprasza się i osoby prywatne o podanie wiadomości o istniejących gdziekolwiek na obczyźnie towarzystwach polskich. *Redakcya „Pracy“.*

Głos z katakomb.

Proces p. Józefa Kościelskiego, którego skarżył o obrazę niemiecki związek śpiewaków, należy do rzędu tych politycznych procesów, które budzą powszechną uwagę: nie dla swej błahej treści, lecz dlatego, że są do pewnego stopnia symptomatycznem zjawiskiem, oświetlającem dokładnie całą sytuacyę polityczną. W takich politycznych procesach z niedościgłą wiernością odbijają się wszystkie prądy, ścierające się ze sobą na powierzchni stosunków pomiędzy państwem — a ogółem lub cząstką jego obywateli, podczas gdy właściwa sprawa, oparta na skardze lub akcie oskarżenia, jest tylko niejako tematem, okolicznościową okazyą, na tle której zarysowują się polityczne prądy.

Takim tematem procesu p. Kościelskiego była błaha sama w sobie okoliczność, że p. Kościelski na wiecu w Witkowie wygłosił mowę, w której dał wyraz uczuciom, przepełniającym jego serce na widok naszego położenia politycznego. Pogląd swój na to położenie, zupełnie trafnie, zdaniem naszem, ujął w formę konkretnego wydarzenia, którego był świadkiem. Oto jednego i tego samego dnia w Miłosławiu miały swą zabawę dwa towarzystwa śpiewackie — polskie i niemieckie. Niemcom policya nie stawiała przeszkód, Polakom zabroniła pochodu. Użyczywszy Niemcom swego lasku, p. Kościelski oburzony zakazem policyi, zaprosił Polaków do swego parku, graniczącego z laskiem, i tam ich podejmował jako gospodarz przez dzień cały.

I oto wieczorem, gdy polskie towarzystwo kończyło zabawę pobożną pieśnią „Wszystkie nasze dzienne sprawy“ — z drugiej strony płota dochodziły odgłosy grzmiących wiwatów piwnych i burszowskich piosnek.

W tem przeciwstawieniu sytuacyi Polaków i Niemców w danym wypadku, — z których pierwsi na rozkaz policyi zrezygnować musieli z pochodu i ograniczyć swą zabawę do rozmiarów prywatnej wizyty w parku miłosławskim, podczas gdy drugim wolno było do woli używać zabawy na wolności, — to przeciwstawienie zupełnie trafnie odźwierciadliło różnicę położenia Polaków a Niemców w państwie pruskiem.

„Uradowała mnie wielce ta różnica charakterów — miał tak mówić dalej pan Kościelski — i w myśli mej ożył obraz potężnej Romy i ciężkiej niedoli pierwszych chrześcian. — I tam szaleli panowie świata wybujałością potęgi, podczas gdy uciśnieni męczennicy idei kryć się musieli po katakombach....

I stał się cud wielki. Oto padły cezary i ich trony, a mieszkańcy katakomb zawładnęli światem.

Tak i my przebywamy w podziemiach — i do nas jutro należy.“

Wprawdzie autentyczność tego przemówienia została zakwestyonowana na rozprawie sądowej — mniejsza z tem jednak, czy pan Kościelski powiedział powyższe słowa w dosłownem brzmieniu, czy też ze zmianami: fakt faktem, że powiedziane są one bardzo dobrze i każdy Polak bez wahania na nie pisać się może.

Za to przemówienie, na wyraźne domaganie się „z góry“ wytoczyli miłosławcy śpiewacy niemieccy panu Kościelskiemu proces, który skończył się w tych dniach zasądzeniem oskarżonego na 200 mk. kary i to za — obrazę; bo za porównanie nas z mieszkańcami katakomb i za słowa, — że „do nas jutro należy“ trudno było prokuratoryi zastosować paragraf karny...

Oto suchy szkielet tematu tego politycznego procesu. Pisma, omawiając jego polityczne znaczenie, podnoszą z naciskiem okoliczność, że proces został wytoczony niemal na rozkaz władz administracyjnych, i śpiewacy niemieccy — dopiero na skutek listu prezesa rejencyi czy też landrata — a więc pruskim zwyczajem na komendę — uczuli się obrażonymi!... Dokładny referat mowy pana Kościelskiego został przesłany do ministeryum, a minister ze znanem upodobaniem rządu pruskiego do szumnych przechwałek miał się odezwać, że „*on* się już postara, aby Polacy z katakomb nie wyszli.“ Dalej stwierdzono, że hakatyści czynny brali udział w całej sprawie i reżyserów hecy hakatystycznej znać było w każdym calu procesu. Wydało się przytem, że rząd komunikuje się z hakatystami i dostarcza im do użytku poufnie jako dokument urzędowy drukowanego pisma o ruchu polskim.

Te wszystkie okoliczności istotnie zasługiwały na podniesienie i zaznaczenie.

Nie zaznaczono jednak ogólnego rysu owego procesu — rysu zdaniem naszem bardzo znamiennego.

Uprzytomnijmy sobie otóż fakt, że rząd za pomocą swych organów wykonawczych nalegał na prywatne towarzystwo niemieckie, by takowe wytoczyło proces o obrazę, której towarzystwo samo początkowo niemogło się dopatrzyć? — —

O cóż więc chodziło?

Chodziło o to — że, mówiąc słowami cytowanego wyżej ustępu, (niedokładnego) mowy witkowskiej p. Kościelskiego, „myśmy zeszli do katakomb jeszcze głębiej, a panowie świata jeszcze bardziej szaleli potęgą swej wybujałości.“

Dlatego oto cały proces.

Zmiana, zaszła od lat pięciu czy siedmiu w nowych stosunkach politycznych stanowi istotny polityczny podkład tego ciekawego procesu.

I czytając pierwotnie witkowską mowę pana Kościelskiego, w której tak dobitnie ujawniło się zrozumienie naszego położenia i w której zarówno trafności jego poglądów, jak i męskiej odwadze hołd jednaki trzeba było składać, ulegaliśmy na chwilę wrażeniu, że — aczkolwiek późno — dokonała się w panu Kościelskim wewnętrzna przemiana przekonań.

Człowiek, co tak potrafi przemówić publicznie — tak myśleli wraz z nami niejedni — nie jest już tym samym, który swego czasu wygłosił ubolewania godny frazes o Prusakach mówiących po polsku. I czekaliśmy doprawdy z ciekawością na wynik i przebieg procesu, w nim bowiem musiało się ujawnić, jak się pan Kościelski zapatruje dziś na sytuacyę polityczną i czy znajdzie odwagę w sobie do powiedzenia wobec nich, wobec sądu: „wraz z całem mojem społeczeństwem zszedłem do katakomb i bez strachu oczekuję szalejących burz z ręki cezarów.“

Oczekiwaliśmy jakiejś enuncyacyi politycznej ze strony p. Kościelskiego, a to tem bardziej, że wiadomo nam, jak bardzo dziś ubolewa on nad niejednem swojem własnem wystąpieniem politycznem, nad niejednym błędem, za którym poszło i całe społeczeństwo niebacznie. — Wiadomo nam, że pan Józef Kościelski oddałby połowę swych milionów za to, aby mógł tylko na nowo rozpocząć swą polityczną karyerę i z przeszłości wymazać całą swą dotychczasową działalność. Wiemy, że opisane poprzednio zajście, które posłużyło do wytoczenia skargi, zdarzyło się w czasie, gdy pan Józef Kościelski stał u szczytu swych politycznych wpływów, gdy w Berlinie delektowano się przy dworze jego pełnemi finezyi i sprytu anegdotkami, gdy podczas „*Kieler Woche*“ podejmowano go jako najmilszego gościa i nagradzano cygarem i słowami „mein lieber“ nieograniczoną ufność pana na Miłosławiu w przyszłą potęgę floty niemieckiej.

Czy wówczas śpiewacy niemieccy skarżyliby dożywotniego członka izby panów, pana na Miłosławiu? O, z pewnością nie byłoby w Księztwie ani jednej takiej instancyi, któraby palcem poruszyła zachęcając tych śpiewaków do procesu.

A dziś? Dziś, jak widzimy, władze i prywatne towarzystwa korzystają z takiej okazyi, jako z dobrej sposobności bicia politycznego kapitału, przypodchlebienia się wiejącym w Berlinie antypolskim prądom. Z porywów, na tle tych nowych przeobrażonych dążeń politycznych wyrosłych, już powstały czyny: obok przemówienia witkowskiego stanie przecież niebawem jego dramat: „*W imię krzyża*“, o wybitnej, indywidualnej i silnej tendencyi politycznej, której ostrze zmierzone przeciw germanizatorom niższego i wyższego rzędu.

Lecz oczekiwania nas zawiodły: w procesie śpiewaków miłosławskich stanął przed nami na chwilę znów ten dawny, ugodowy „*biały Józef*“, zamiast być takim, jak myśli i czuje dziś.

Powiedział on przecież przed sądem, że protestuje „przeciw oszczerstwu, jakoby Polacy byli wrogami państwa.“ A dalej według relacyi „Pos. Tagb.“ mówił: „Zwalczam hakatę nie jako Polak, lecz jako obywatel państwa“. — „Energicznie zaprotestować muszę przeciw podsuwaniu słowom moim znaczenia skierowanego przeciw państwu i cesarzowi: *niedopuszczę do żadnych wątpliwości w moją lojalność wobec mego pana i władcy.*“

Oto znowu wypłynęła z czeluści katakomb owa przeklęta lojalność, która nas trapi Bóg wie jak dawno.

My wszyscy, siedząc w katakombach i czekając aż przyjdzie czas zwycięstwa naszej idei, taki głos kierujemy do pana na Miłosławiu:

Zły to polityk, kto wobec zmienionych warunków nie zmienia taktyki. Dawna lojalność nie pasuje już do naszych katakomb. Nie jako obywatele pruscy, ale jako bezpańskowi Polacy zwalczamy hakatę i bronimy egzystencyi. Kto chce być z nami w katakombach, niech ust swych nie kala takiemi zapewnieniami o lojalności. Niech fałszywa duma i wstyd rzekomego sprzeniewierzenia się dawnemu programowi nie powstrzymuje nikogo od solidaryzowania się w walce o byt z całem społeczeństwem. Największym błędem pana Kościelskiego byłaby nie jego polityka lojalno-ugodowa, ale to, gdyby dziś w niej jeszcze chciał trwać.

Vester.

Prusacy.

Więc pytasz, Czytelniku miły, kto to Prusak dzisiejszy, skąd jego nazwa, początek i jakie dzieje? A dobrze, po krótce opowiem, przypomnę dla nauki i dla dusz naszych smutnego pokrzepienia.

Otóż het we wiekach średnich siedział nad morzem Bałtyckiem na południe od ujść Niemna slawo-lecki, czyli lecki ze Słowianami blizko spokrewniony szczep Prusaków.

Prusacy ci, nie mający z dzisiejszymi „Prusakami“ nic wspólnego, żyli w pogaństwie aż do wieku trzynastego. Że zaś graniczyli z Polską, względnie z Księztwem Mazowieckiem, będącem częścią Polski, i na Mazowsze zapuszczali często niszczące swe zagony, więc Konrad, mazowiecki książe, sprowadza w roku 1225 na ziemię swoję niemiecki zakon Krzyżaków i oddaje mu część kraju swego na pograniczu leżący, aby Krzyżacy, jako rycerze bronili Mazowsza od napadów pruskich, zaś jako chrześcijańscy mnisi wśród pogańskich Prusaków szerzyli chrześcijaństwo. W ten sposób niemiecki zakon Krzyżaków, Prusakom a niemniej Polsce pochodzeniem swem obcy, rozsiada się w zanadrzu Polski, i szerzy chrześcijaństwo wśród Prusaków na swój sposób — mieczem i ogniem, na gruzach i zgliszczach krwią zbryzganych stawiają krzyż Chrystusa, miłości wszechludzkiej godło.

Lecz Krzyżak rośnie w siły, staje się, wedle Mickiewicza słów: „tłusty, bo pruską krew codziennie chłepce,“ a tak tą krwią ....

tuczny staje się Polsce niebezpieczny i nieprawnie wydziera jej Pomorze. Nie pomogły żądania królów polskich, nie pomogły wyroki papiezkie, nakazujące Krzyżakom ziemie gwałtem zabrane wydać, Polska musi mieczem praw swych na Krzyżakach dochodzić. W r. 1331 król Władysław Łokietek zadaje im pod *Płowcami* okropną klęskę, wojsko ich gromi zupełnie, całe pole bitwy trupami zaściela. Lecz Krzyżacy wylizują się znowu, a przewidując jakie dla nich może wypłynąć niebezpieczeństwo z połączenia się Litwy z Polską, starają się przeszkodzić małżeństwu Jadwigi z Jagiełłą. Usiłowania ich były daremne wobec Jadwigi, królowej naszej, gotowej do ofiar najcięższych. Niemiecki zakon stara się przecież dalej waśnić ciągle Litwę z Polską, a kiedy i tu nikczemne jego zabiegi okazują się płonnemi, poczyna napadami aż pod Wilno Litwę pustoszyć. Nie sprostał jednakże krzyżacki mnich wojskom Jagiełły. 1410 r. pod Grunwaldem, Jagiełło w puch rozbija potęgę Krzyżaków; „podłe Krzyżactwo zdeptał“, jak mówi poeta i tylko dobrotliwości Jagiełły, objawiającej się w pokoju toruńskim, ma zakon do zawdzięczenia dalsze swe istnienie. Źle się on wypłaca Polsce za tę dobrotliwość! Syn Jagiełły Kazimierz dwunastoletnią musi wieść znowu z Krzyżakami wojnę, której ostatecznym wynikiem jest ponowny pokój toruński, tak zwany „wieczysty“ (1466.)

Mocą tego pokoju musiał zakon wydać Polsce większą część zagarniętych drapieżną pięścią ziem a zatrzymał jedynie dawne dzielnice pruskie ze stolicą Królewcem. Wielki mistrz zakonu został hołdownikiem króla polskiego i odtąd każdy wielki mistrz krzyżacki musiał królowi hołd składać w szóstym miesiącu po objęciu swojego urzędu, a obranym mógł być tylko za zezwoleniem króla polskiego.

W początkach wieku szesnastego został tym wielkim mistrzem krzyżackim Albrecht von Hohenzollern, brandenburskie książę, które nie chciało hołdu panu swemu złożyć, aż je wojną trzeba było przymusić. Nieszczęście chciało, że Albrecht ten był siostrzeńcem naszego króla Zygmunta, (matka jego była Jagiellonka) i tak od wuja swego zbyt wiele pobłażliwości doznał.

Król nasz pozwolił na to, że Albrecht, który nie chciał się ugiąć pod ostre zakonu reguły, odstąpił katolickiej wiary i przyjął luteranizm. Poczem Albrecht Hohenzollern, praszczur dzisiejszych królów pruskich i cesarzów niemieckich dnia 8-go kwietnia 1525 na rynku krakowskim hołd królowi polskiemu złożył i wierność przysięgał. Z wolą króla polskiego Albrecht zamienił państwo zakonne na świeckie *Księztwo pruskie*, pozostające w lennej zawisłości od Polski. Od tej chwili datuje się dopiero początek dzisiejszych Prus. Pokój między królem polskim a pruskim księciem spisany, zawierał między innemi następujące punkta:

W razie wojny stawia się książe pruski osobiście królowi polskiemu z posiłkami do boju.

Za co król polski będzie wypłacał księciu 4000 złotych dożywotniego jurgieltu (Jahrgeld) czyli innemi słowy książęta pruscy Hohenzollerny byli Polski wassalami i jurgieltnikami.

Jeszcze stoją na rynku krakowskim stare Sukiennic mury, które na pokłon i hołd Zygmuntowi składany patrzały, zaś w Sukiennicach samych, w Muzeum Narodowem wisi wspaniałe płótno Matejki, na którem uwieczniona ta chwila, w której Albrecht Hohenzollern Polsce do nóg się korzył.

Ilekroć mówił z katedry uniwersyteckiej o tym „Hołdzie pruskim“ niemiecki historyk Droysen, kończył zawsze temi słowy: „Gdyby Jagiellonowie byli mieli więcej szczęścia i politycznego sprytu, to Hohenzollerny nie byliby wcale w pierze porośli.“ (Hätten die Jagellonen mehr Glück u. Geschick gehabt, dann wären die Hohenzollern gar nicht aufgekommen.)

W skutek wygaśnienia pruskiej linii Hohenzollernów kraje im przynależne dostały się później z wolą króla polskiego w lennictwo Hohenzollernom margrabiom brandenburskim, mającym stolicę swą w Berlinie. Nie będę wyliczał ich wiarołomstwa i niedotrzymania przysiąg, jakich dopuścili się książęta pruscy wobec zwierzchniczej Polski. Najbardziej w tym względzie zasłynął Fryderyk Wilhelm, którego Wielkim nazywano.

Ten, zamiast dotrzymać zobowiązań swych królowi polskiemu, wszedł w czasie wojen szwedzkich z wrogim Karolem Gustawem w zdradzieckie przymierze i sprawę Polski opuścił. By Szwedów pozbawić sprzymierzeńca król Jan Kazimierz wdał się z Brandenburczykiem w układy, które się ukończyły traktatem welawskim (1657). Mocą tego traktatu Prusy (te dawne nad Niemnem) zostały oderwane na zawsze od Polski, a jako udzielne państwo oddane Hohenzollernom brandenburskim, których król polski zwolnił od składania hołdu.

Traktat ten położył podstawę do przyszłej, zgubnej dla Polski potęgi; odeń dopiero zaczyna się historya dzisiejszych niemieckich Prus, które wyrosły na łasce Polski a przez wiarołomstwo wobec niej.

Warto to sobie dzisiaj przypomnieć, by z bólem zawołać: O gorzka losów ironio! o dziwna dziejów koleji!

W r. 1701 elektor brandenburski, książe pruski, koronował się z wolą ówczesnego cesarza Niemiec w Królewcu i przybrał tytuł „*króla w Prusiech*“, przybrał go od tej slawo-leckiej ziemi, która była potęgi Hohenzollernów kolebką.

Z biegiem czasu Hohenzollerny gdzie się dało tam „anektowali“ ziemie, to na zachodzie, to wschodzie, zbijali i sklejali razem w jedno *królestwo pruskie* ludzi i kraje, które z naszemi niegdyś Prusami nic nigdy wspólneg onie miały. Ale

powiedzieli poddanym swym: „jesteście Prusakami“, ci zaś uwierzyli; a kto wierzyć nie chciał temu „drylem“ i historycznym w Prusiech kijem, wpędzano patryotyzm. Dzisiaj nad Renem i Niemnem śpiewają: „Ich bin ein Preusse, will ein Preusse sein.“

Rozwój Prusów kłam zadaje uczonym teoryom o powstaniu i istocie narodu. Mówimy za zwyczaj, naród jest to naturalnie powstała społeczność ludzka związana ze sobą wspólną przeszłością, językiem, zwyczajami, kulturą odrębną. Zaś to, co dzisiaj stanowi naród pruski, nie ma ani wspólnej przeszłości, ni języka, ni zwyczajów, ni kultury pruskiej. Jest to sklejek powstały pod pressyą rządu, sztuczny wyrób zawdzięczający byt swój woli energicznego rządu.

Energicznym, bezwzględnym rządem powstały i wzrosły Prusy i z tego dumne są dzisiaj; boć z czegoś trzeba być dumnym! W ostatnich jednakże czasach coś psuć się zaczyna w tych sławnych rządowych sferach pruskich. Korrupcya u góry i u dołu — jak to najnowsza wykazuje kronika skandaliczna. Oj, coś się psuje w państwie — pruskiem.

Poznańczyk.

Protest obywateli śremskich.

Do rzędu imponujących manifestacyi rozbudzonego presyą germanizacyi ducha narodowego przybył — po wiecu poznańskim i gnieźnieńskim — nowy wiec — w Śremie.

I oto nowy protest, nowy głośny krzyk oburzenia, wydobyty z piersi setek obywateli, którzy się uważają za pokrzywdzonych, złożył świadectwo o żywotności naszej i zaświadczy w Berlinie, że nie myślimy ustawać w walce, którą nam wypowiedzieli Prusacy, chcąc odebrać nam mowę i prawa polityczne nasze, a nawet naszą przeszłość.

Niechaj się rząd pruski zatem przekona z tych manifestacyi narodowego odrodzenia polskości w naszej dzielnicy, że każde rozporządzenie nas krzywdzące wywołuje w nas tylko tem silniejsze dążenie do obrony.

Niechaj się przekona minister Studt, że nasze społeczeństwo nie pozwoli bezkarnie nikomu na zamachy, wymierzone przeciw językowi ojczystemu, któremu pozostać chcemy wierni pomimo całej niedoli i ucisku.

Wiece takie, jak poznański, gnieźnieński — a ostatnio i śremski — przyczyniają się w wysokiej mierze do rozbudzenia świadomości politycznej u ludu — i dlatego uważamy za wielką zasługę obywatelstwu tych miast, że swym przykładem pociągnie i inne miasta.

Na wiec w Śremie, który się odbył dwa tygodnie temu, w niedzielę, tak wielkie ludu przybyły masy, że obszerna sala hotelu „Wiktorya“ p. Świątkowskiego przepełniona była wiecownikami, którzy przez trzy godziny w upale na sali wytrwali, żywy objawiając współudział przy każdem gorętszem słowie występujących mówców.

Na zebranie stawiło się także licznie duchowieństwo i obywatelstwo ziemskie. Wiec zagaił prezes komitetu wyborczego śremskiego, ks. dziekan Antoniewicz z Bnina. Wyjaśniwszy cel wieca, powitał przybyłych i zaproponował na jego marszałka posła do sejmu i parlamentu, pana Józefa Głębockiego, a wicemarszałkiem, p. Zdzisława Skrzydlewskiego. Wśród oklasków przyjęli zebrani wybór.

Pierwszy zabrał głos przewodniczący, przypominając na wstępie przyrzeczenia królów pruskich, złożone przy włączaniu naszej dzielnicy do Prus, a dotyczące uszanowania naszego języka. Co uczyniono z temi przyrzeczeniami królewskiemi? pytał mówca. Następnie, skrytykowawszy rozporządzenia antypolskie, przemówił do rodziców, zachęcając ich, by uczyli w domu dzieci swoje ojczystego języka, zwracał się zwłaszcza do matek z upomnieniem, by nie zaniedbały tego świętego obowiązku. Mowę posła Głębockiego przyjęto hucznemi oklaskami.

Poseł Głębocki mówił o rozporządzeniu byłego ministra oświecenia, hr. Zedlitza, zezwalającem na naukę prywatną, które to rozporządzenie zniósł później minister Bosse.

Już dawno rząd myślał o zniesieniu nawet nauki religii w języku ojczystym. Teraz widocznie nabrał przekonania, że chwila stosowna nadeszła i że język polski przy nauce religii może zastąpić niemiecki. Nie trzeba się łudzić, jest to zapowiedź burzy w całem Księstwie. Chociaż bowiem reskrypt ministra Studta dotyczy chwilowo tylko Poznania, to nie ulega wątpliwości, że z czasem zastósowanym zostanie w całem Księstwie. Jest to krzywda wołająca o pomstę do nieba, że rząd ruguje ze szkół język polski, ten najdroższy skarb narodu. (Huczne, długotrwałe oklaski.)

Mówca wezwał rodziców, aby nie oddawali się rozpaczy, ale w domu uczyli swe dzieci języka ojczystego, a żadna moc nie zdoła temu przeszkodzić. Przedewszystkiem matki polskie powinny dbać o to, aby dzieci ich nie zdziczały, bo w szkole zamiast się uczyć, niekiedy dziczeją. Dom polski powinien stać się fortecą, a fortecy tej żadna potęga nie zmoże. Zachęcał do czytania książek polskich, a kończąc swoje przemówienie, wezwał do głośnego protestu.

Mowę posła Głębockiego przyjęto z ogromnym zapałem. Podziękowano mu za nią hucznemi, długotrwałemi oklaskami, a z piersi wiecowników wydobył się jednomyślny okrzyk: „Niech żyje nasz poseł!“

Panu Głębockiemu należy się szczere uznanie za energiczne przemówienie, z jakiem wobec wiecowników wystąpił. Gdyby wszyscy posłowie zawsze z taką energią występowali wobec rządu, poznaliby może panowie ministrowie nareszcie, że prawa paru milionów obywateli to nie błahostka, którą pomiatać można dla zdobycia sobie tanim kosztem sławy wielkiego i energicznego polityka.

Następnym mówcą był ks. proboszcz Wiśniewski z Książa. — Szanowny mówca charakteryzował szerzący się coraz groźniej szowinizm wśród współobywateli niemieckich w naszej dzielnicy, upominał gorąco rodziców, by nie pozwolili wzrastać dziatwie w nieznajomości pięknej mowy ojczystej, bo wraz z językiem postradają dzieci łatwo i wiarę katolicką, ten nasz skarb najdroższy. Mowę tę przerywano kilkakrotnie długotrwałemi oklaskami.

Następnie ks. Wiśniewski mówił o kwestyi religijnej, przypominając, że naród polski odznaczał się zawsze gorącem przywiązaniem do wiary. Królowie pruscy wiedzieli i wiedzą o tem dobrze; przyrzekli też, że religia ma być ludowi zachowaną. Cóż, kiedy gwałcą królewskie przyrzeczenia? Gdyby nawet udało się zniemczyć Księstwo Poznańskie, byłoby to z krzywdą dla samego państwa, bo mogłoby to nastąpić kosztem wiary i języka, a postradawszy te podwaliny swego narodowego bytu, lud rzuci się w objęcia socyalizmu i anarchii.

Aby przeciwdziałać wpływom niemieckim, do demoralizacyi politycznej i rewolucyi prowadzącym, trzeba pracować nad tem w domach polskich. Każdy dom polski powinien stać się twierdzą, do której żaden minister ani inspektor szkolny nie będzie miał przystępu. Matki polskie, których panowie ministrowie i radcy najbardziej się obawiają, strzedz będą ognisk domowych przed germanizacyą.

Wiecownicy entuzyastycznemi oklaskami nagrodzili mowę ks. Wiśniewskiego.

Po przemówieniach p. Lipińskiego

o miłości ziemi ojczystej i włościanina Gabały o postawie ludu polskiego, wiec przyjął jednomyślnie wśród oklasków następujące rezolucye:

Zebrani na wiecu w Śremie Polacy i Polki powiatu śremskiego:

1) protestujemy uroczyście przeciwko usunięciu i usuwaniu języka polskiego ze szkół, jako odbieraniu praw nam przynależnych z woli Bożej, z przyrzeczeń królewskich, międzynarodowych traktatów, konstytucyi państwa, do którego należymy.

Protestujemy i żądamy od rządu przywrócenia i zachowania nam praw językowi naszemu przynależnych.

2) protestujemy uroczyście przeciwko krzywieniu religijnego wychowania naszych dzieci, które spowodować muszą rozporządzenia rządu, nakazujące uczyć dzieci nasze religii nie w ich ojczystym polskim, lecz obcym niemieckim języku. Protestujemy i żądamy zniesienia odnośnych przepisów.

3) protestujemy przeciwko ukrócaniu praw, które przynależą władzy duchownej, przy urządzaniu nauki religii w szkołach.

4) wzywamy wszystkich rodaków, aby wobec ciosu, zadanego językowi naszemu przez rozporządzenia rządowe, podjęli energiczną a wytrwałą walkę przeciw uciskowi, ucząc dzieci ojczystego języka wśród ognisk domowych.

5) Upoważniamy komitet nasz wyborczy powiatowy, by w miejscach powiatu, które uzna za stósowne, wyznaczył mężów zaufania, którzyby mieli obowiązek rozpowszechnienia elementarzy polskich między rodziny polskie.

6) Upoważniamy komitet wyborczy powiatu śremskiego, jako powołaną do tego zaufaniem obywateli władzę, aby postarał się w najbliższym czasie o urządzenie wieców lokalnych po miastach i wsiach powiatu, gdzie uważa za stósowne, w celu przeprowadzenia powyższych uchwał.

7) Wzywamy i prosimy posłów naszych w sejmie i w parlamencie, by jak dotąd, tak i nadal na trybunach sejmu i parlamentu dali odpowiedni wyraz oburzeniu ludności polskiej w obec krzywd nas coraz więcej gniotących i poparli żądanie nasze usunięcia takowych.

Jeden z obywateli śremskich złożył serdeczne podziękowanie komitetowi, który zajął się urządzeniem wieca i przyczynił się do podniesienia ludności polskiej na duchu. — Marszałkowi za zręczne i umiejętne kierowanie obradami podziękował X. dziekan Antoniewicz, na co poseł Głębocki odpowiedział, wyrażając zadowolenie z poważnego przebiegu zebrania i powtarzając zebranym: Sursum corda! Nie oddawać się zwątpieniu, nie zniechęcać się przeciwnościami, lecz iść na przebój mrówczą pracą i żelazną wytrwałością, a Bóg nam zginąć nie da.

Taką była mniej więcej treść przemówienia, jakiem zakończył marszałek piękny wiec śremski, który wszystkim na długo pozostanie w pamięci. Policyjni dwaj urzędnicy, obecni na zebraniu, przysłuchiwali się rozprawom z wielkiem zajęciem.

Na propozycyą p. marszałka uchwalono wysłanie telegramu do Ojca św. Telegram ten opiewa:

„Zebrani na wiecu w Śremie Polacy katolicy najpokorniej błagają Waszą Świątobliwość o apostolskie błogosławieństwo dla synów narodu, który przez tyle wieków ofiarą krwi i mienia zasłaniał piersiami swemi religią katolicką, a który dzisiaj z powodu rozporządzeń rządu świeckiego zmuszony jest cierpieć i prowadzić ciężką walkę o prawdziwe religijne wychowanie swych dziatek.“

Uchwalono także wysłanie adresu do X. Arcypasterza, na cześć którego zebrani podnieśli serdeczny okrzyk.

Za przykładem Śremu powinny iść inne miasta prowincyonalne i energicznym protestem zaznaczyć, jak się zapatrują na sprawę germanizowania na nauce religii.

Mianowicie apelujemy tu do mieszczańskich sfer w Inowrocławiu, aby nie oglądając się na zobojętniałe jednostki doprowadziły do zwołania wieca. — W tej myśli, jak i po wiecu gnieźnieńskim wołamy: niech żyje wiec następny — *vivat sequens.*

Wiecownik.

Wybory w Galicyi.

Z powodu rozwiązania austryackiej Rady Państwa, która dzięki obstrukcyi od lat kilku już nie funkcjonowała wcale, hamując tylko rozwój życia parlamentarnego, odbędą się niebawem wybory w Galicyi.

„Wybory w Galicyi“ to temat przysłowiowy niemal, gdy chodzi o scharakteryzowanie najdalej posuniętych walk wyborczych, przekupstwa, gwałtu, aresztowań, żydowskich tumultów i krwawych owoców działalności wichrzycieli społeczno-politycznych w rodzaju księdza Stojałowskiego.

Dlatego też nowe wybory już teraz rzucają naprzód swe cienie w Galicyi w postaci niemiernego rozdraźnienia mas. Zdania ścierają się ze sobą, programy rosną jak grzyby po deszczu, a każde stronnictwo myśli jedynie o tem, jakby najwięcej mandatów wyłowić z tego zamętu.

Czytelnikowi z zaboru rosyjskiego lub pruskiego, trudno jest zazwyczaj zorjentować się wśród dziesiątka stronnictw politycznych w Galicyi, dlatego wspomnę tutaj o wielu choć pokrótce. Na prawicy mamy Stańczyków, dzierżących dotychczas ster kraju; dla scharakteryzowania ich wystarczy powiedzieć, że jest to odmiana gatunku „ugodowiec warszawski“, zwana w zaborze pruskim partyą dworską. Przeciw nim walczą stronnictwa, należące do opozycyi. Najdawniej prowadzi tę walkę stronnictwo nazywające się demokratycznem, składające się z ludzi starszych, mało naogół energicznych, i nie mające oparcia w żadnej sferze. Odpowiadają oni liberałom innych krajów, brak jednak właściwego mieszczaństwa w Galicyi nie daje im oparcia. Jesteśmy teraz świadkami ewolucyi w tem drzemiącem stronnictwie, która się zapewne zakończy rozłamem: część przymknie się do prawicy, część zaś do stronnictw radykalnych.

Największy chaos spotykamy na skrajnej lewicy. Wyraźnie odróżniają się tutaj tylko socyalni-demokraci z Daszyńskim. Zyskali poparcie wśród nielicznych ogółem sfer robotniczych w Galicyi i występują w imieniu proletaryatu tutejszego. Powodzenie swe zawdzięczają głównie, jak się zdaje, wybitnej indywidualności wodza — posła Daszyńskiego. Reszta opozycyi to chłopi, którzy niestety dzielą się na pięć partyi. Najsilniejszą z nich jest partya ludowa, mająca swoją siedzibę we Lwowie, prowadzona przez pp. Wysłoucha, Stapińskiego i t. p. i posiadająca w swoich szeregach takie wybitne jednostki z pośród ludu jak Bojko, Wójcik, Krempa i inni. Organem tej partyi jest „*Przyjaciel ludu.*“

Specyalnie na sezon wyborczy zaczęto wydawać rozmaite pisemka i obecnie ruch wyborczy w Galicyi rozpoczął się już na dobre i odznacza się większym nawet, niż przed trzema laty zamętem. Powstają coraz to nowe stronnictwa i grupy. Z istniejących dawniej stronnictw trzy tylko — zachowawcze, ludowe i socyalistyczne nie uległy rozbiciu. Lewica rozpadła się na dwie czy nawet na trzy grupy, z których jedna zerwała stanowczo z komitetem centralnym i w sprawie solidarności zajmuje stanowisko krytyczne, domagając się reformy statutu Koła polskiego. Do dawnych stronnictw zaliczyć należy też Stojałowczyków, z których jedna część, zdaje się niezbyt liczna, pod wodzą p. Danielaka i ks. Szpondra połączyła się z nowo-wytworzonem stronnictwem antysemickiem. Mamy jeszcze oprócz tego stronnictwo katolicko-narodowe, nie mówiąc o różnych mniejszych grupach, jak n. p. Związek chłopski i niewyklu-

tych jeszcze zalążkach nowych organizacyi partyjnych.

Ten zamęt, to rozbicie się na stronnictwa dowodzi, że w społeczeństwie istnieje silny ferment polityczny, że jest ono niezadowolone ze stronnictw dotychczasowych. Z trzydziestu miast, tworzących kuryę miejską, trzy tylko wysłały delegatów na zjazd lwowski, zwołany celem wyboru komitetu centralnego. Nawet Kraków wyraźnie oświadczył się przeciw komitetowi, nie dosyć tego, na zjeździe w Tarnowie przedstawiciele stronnictwa katolicko-narodowego ostro komitet centralny potępiali.

Gdyby nawet wynik nowych wyborów nie przyniósł porządanej zmiany w składzie przedstawicielstwa galicyjskiego, to zamanifestowanie samodzielności politycznej mieszczaństwa i inteligencyi zawodowej będzie miało dla przyszłości ogromne znaczenie.

„Klątwą naszej polityki jest — mówił na zebraniu przedwyborczem we Lwowie p. Rutowski — żeśmy się dotychczas nie zdobyli na własny, pełnię narodowych postulatów, obejmujący program. Dziś mówią o nowej większości i już witają tam Polaków, jako jej część składową. Czy zawsze tak będzie? Jak wygląda Polska na Ślązku przy takiej tchórzliwej bojaźliwej polityce, jak wyglądają nasze prawa na Bukowinie? Wiadomo to chyba wszystkim. Choćby nie wiedzieć jakie gromy padały na nas ze strony konserwatywnych puszczyków, musimy wejść na nowe tory, ku poprawie narodowego bytu“.

Niestety, jest to nietylko klątwą polityki Koła Polskiego ale i w równej mierze klątwą polityki demokratów i wogóle opozycyjnych stronnictw galicyjskich, że nie mają programów, „obejmujących pełnię postulatów narodowych“. Ba, niekiedy nawet te programy postulatów narodowych nie uwzględniają wcale albo raczej milczą o nich. A sam p. Rutowski może nawet więcej zgrzeszył w ostatnich czasach pomijaniem postulatów narodowych, niż ci, których dziś zwalcza.

Pewną niespodziankę sprawia rozdwojenie pomiędzy lwowskimi socyalistami. Przeciw kandydaturze p. Hudeca, występuje p. Ernest Breiter, również, jak tamten, kandydat socyalistyczny. Walka toczy się, jak w tym obozie zawsze — na ulicy. A więc we środę wieczorem przeciwnicy p. Breitera, w liczbie około 400, powybijali mu szyby w jego mieszkaniu, gdzie się mieści redakcya „Monitora“ przy ul. Kopernika i urządzili mu kocią muzykę. To samo powtórzyło się potem na Chorążczyźnie, przed administracyą „Monitora“, wreszcie tłum demonstracyjnie udał się na ulicę Sykstuską l. 50, gdzie mieszkają rodzice p. Breitera i gdzie jest drugie, właściwe jego też mieszkanie. Tu zebrało się też wiele osób tylko ciekawych, a nie należących do demonstracyi. Nagle ktoś z okna domu p. Breitera wystrzelił z rewolweru do publiczności. Powstało niesłychane wzburzenie, wezwano policyę, która jednakże nie umiała wyśledzić strzelającego.

Jest to jednak dopiero mała przygrywka do tych scen i awantur, które przed samymi wyborami rozgrywać się niestety będą. X. X.

Z TYGODNIA.

Pisząc w nagłówku wstępnego artykułu w poprzednim numerze słowa „nieczyste sprawki“, nie spodziewaliśmy się, że w tak krótkim czasie będziemy mogli nieomal ten sam nagłówek położyć na czele opisu nowych wypadków w „państwie dobrych obyczajów.“

Dla odmiany tymczasem owe nieczyste sprawki wyszły na jaw już nie w ministerstwie dla wewnętrznych spraw rzeszy, ale w policji kryminalnej.

Asumptu do wykrycia niesłychanych stosunków w policji, dostarczyła w Berlinie sprawa bankiera Sternberga.

Przed rokiem skazano bankiera Sternberga, na dwa lata ciężkiego więzienia za różne niemoralne, zbrodnicze czyny. Skutkiem apelacji przekazano sprawę do ponownego osądzenia Izbie karnej w Berlinie, a przed kilku dniami rozpoczął się proces, budząc wielką sensację.

W trzecim dniu rozprawa przybrała zwrot niespodziewany. Oto trzynastoletnia dziewczynka, która w poprzednim procesie była świadkiem klasycznym i zeznaniami swemi najbardziej przyczyniła się do zasądzenia Sternberga — teraz zaczęła zeznawać całkiem co innego, wypierać się poprzednich twierdzeń i zaprzeczać wszystkiemu, cokolwiek mogło zaszkodzić oskarżonemu. Równocześnie wyszło na jaw, że drugi główny świadek obciążający, chlebodawczyni dziewczynki, puściła się niedawno w daleką podróż do Ameryki.

Bezpośrednio potem wyłoniły się w toku rozprawy trzy nowe, jeszcze bardziej sensacyjne postacie: ajent policyjny, starszy komisarz policji — i dyrektor policji. Owa trzynastoletnia Frieda Woyda odświadczyła, że jej pierwotne obciążające zeznania były jej poddane przez policjanta kryminalnego Stierstädtera, że przełożeni nie byli zgodni w postępowaniu swem w tej sprawie. Podczas gdy prokurator Romen z pierwszego procesu przeciw Sternbergowi i komisarz kryminalny, Treskow, nakazali mu nadal czynić poszukiwania i odwiedzać zamężną siostrę Woydy, to z drugiej strony szef policji kryminalnej pan v. Meerscheidt-Hüllessem surowo mu tego zabronił, a komisarz kryminalny Thiel starał się wręcz wpłynąć na niego, aby zaniechał sprawy, za co może odebrać grubą sumę od oskarżonego i pędzić wygodne życie nad jeziorem Garda. Ów komisarz Thiel zapraszał go do siebie, zabierał do winiarni, jeździł z nim dorożką, odwiedził go we własnem jego pomieszkaniu, a zawsze mówił mu o sprawie Sternberga, obiecując mu pieniądze, których dużo miał otrzymać za milczenie. Gdy na to nie chciał przystać, powiedział do niego Thiel pewnego razu, że „jak mnie pan wydasz, to palnę sobie kulą w łeb“. Wreszcie rzucił policjant podejrzenie na głośnego adwokata Sello, który i w tym sensacyjnym procesie figuruje jako główny obrońca, jakoby komisarz Thiel robił swoje oferty z jego polecenia.

W czasie tych zeznań, adwokat Sello zerwał się z miejsca, zaprotestował przeciw intrydze, skierowanej ku zniesławieniu jego, dotąd czystego imienia, złożył obronę i żądał przesłuchania go jako świadka co do inkriminacji Stierstädtera. Prokurator godził się na ostatnie żądanie, lecz trybunał orzekł, iż wystarcza mu zupełnie deklaracja adwokata Sello i prosił go, aby podjął znowu obronę, co też nastąpiło. Stierstädter z całą stanowczością podtrzymał swoje zeznanie. Thiel, którego nie zaprzysiężono, z równą stanowczością wszystkiemu przeczył.

Rozprawa przynosiła z każdą nieomal godziną sensacyjniejsze szczegóły.

Okazało się mianowicie, jako fakt niezbity, że dyrektor policji v. Meerscheidt-Hüllessem, którego wielkie zasługi około zaprowadzenia systemu Bartillona i gabinetu fotograficznego dla więźniów kryminalnych sławiono niedawno także powszechnie, pozostawał w finansowej zależności od bankiera Sternberga i to jeszcze w czasie, kiedy temuż bankierowi wytoczony został proces, i gdy pozostał w więzieniu śledczem, pożyczył mu na hipotekę pewnego gruntu 30 tysięcy marek. Sternberg przyznał, że dziś ta suma na hipotece jest już „zmazana“, nie powiedział jednak, czy została też zapłaconą. Na dalsze pytanie przewodniczącego, zeznał oskarżony, że szef kryminalnej policji bywał od lat w jego domu, że on, Sternberg, często go wybawiał z kłopotu, gdy potrzebował finansowej pomocy. Tem tylko tłómaczyć się może surowy zakaz, który v. Meerscheidt-Hüllessem dał Stier-

städterowi, aby przestał odwiedzać Woydę i dom jej zamężnej siostry.

Trybunał zawezwał dyrektora kryminalnej policji na świadka, który na rozprawie przyznał się do tego, że zostawał w stosunkach pieniężnych i przyjacielskich ze Sternbergiem.

Skutkiem tego zasuspendowano go natychmiast, a kanclerz hr. Bülow udał się do cesarza, aby mu złożyć sprawozdanie.

Niebywały ten skandal, dowodzący przekupstwa w sferach, które właśnie wykrywaniem przestępstw się trudnić powinny, dowodzi jawnie, jaka wewnętrzna zgnilizna ogarnia urządzenia państwowe u samych ich podstaw. Niedawno przecież wykryto, że niejaki baron Broich, wysoki urzędnik państwowy prowadził formalny handel orderami i tytułami, jak niemniej dyplomami szlachectwa; nieco przedtem wykryto w procesie, że jakiś tam Pfahl za pieniądze wyrabiał ułaskawienia cesarskie dla przestępców, — później okazało się, że ministerstwo spraw wewnętrznych rzeszy zbiera od przemysłowców hojne datki, bo 12 tysięcy marek, — obecnie zaś widzimy ten sam system i w policji.

Naturalnie, że państwo, które żądzi się takiemi zasadami w wewnętrznem życiu, na zewnątrz nie może występować inaczej, jak tylko podług zasady dzikich Hunów. Postępowanie Niemców w Chinach wprost przeraża. Oto, co pisze jeden z żołnierzy niemieckich z Chin w liście, ogłoszony w „Bremer Bürger Zeitung:“

„Dzisiaj wzięliśmy do niewoli 76 Chińczyków, związaliśmy ich ze sobą warkoczami i otoczyli ze wszystkich stron; w ten sposób musieli z nami maszerować. W tem kilku żołnierzy rzuciło się bez litości na nich, i obili ich tak, że krew buchnęła ze wszystkich ciał. Straszne to było. Po obiedzie skazano wszystkich na śmierć przez rozstrzelanie, do czego i mnie odkomenderowano. Po drodze na plac, gdzie wyrok miał być wykonany, uciekło 8, a na 68 wykonano wyrok śmierci.

„Przed każdym Chińczykiem stanęło 4 z nas i na komendę „Ogień“, bez względu na błagania skazanych, wszystko się skończyło. Słyszeliśmy tylko cichy jęk, albowiem każdy został przeszyty czterema kulami i runął na wznak w grób, który poprzednio własnemi musiał wykopać rękami. Takim był koniec owych 68 Chińczyków. Było to w niedzielę, 26-go sierpnia 1900 roku w Pekinie, — i dzień ten na zawsze w pamięci mej zostanie.“

A oto wyjątek z drugiego przez „Volks-Zeitung“ ogłoszonego listu:

„Co się tutaj podczas wojny dzieje, opisać nie jestem w stanie, droga Matko, bo takie mordowanie i wyrzynanie ludzi jest wprost wściekłe. Chińczycy mają stać poza obrębem prawa państwowego i dlatego też nie bierze się nikogo do niewoli, a do każdego strzela lub też dla zaoszczędzenia nabojów bagnetami zabija. W niedzielę musieliśmy zakłuć 74 jeńców chińskich. Było to tak okrutnie, że niepodobna opisać, jak się rzecz w rzeczywistości miała. Kończę list ten nadzieją, że to już niedługo potrwa, inaczej przestałoby się wiedzieć, a raczejby się zapomniało, że się kiedykolwiek człowiekiem było.“

Nie potrzebujemy do listów tych dodawać żadnych komentarzy, wystarczy je przeczytać, by stosownego nabrać pojęcia o kulturze Niemców współczesnych.

Dokumenty takie będą i za tysiąc lat wymownem świadectwem jakiego pokroju była ta kultura, którą chcą szerzyć Prusacy. *K. O.*

PRZEGLĄD PRASY.

Więc jeszcze nie minęły czasy zapewnień „naszej wiernopoddańczej lojalności“, nie minęły jeszcze czasy zapewnień naszego serdecznego przywiązania do tronu i korony pruskiego państwa: jeszcze są ludzie i pisma, które nam każą wierzyć w sprawiedliwość pruską, jeszcze są ludzie i pisma, które łudząc siebie, łudzą i naród marząc o pojednaniu z Prusakami...

W tych dniach dopiero członek Izby panów, Kościelski, pan na Miłosławiu, w dobitnych słowach i podniesionym głosem zadokumentował, że w jego wiernopoddaństwo i lojalność do korony pruskiej nikt niema prawa wątpić. — — Nie dziw więc, że za tym przykładem pospieszył też i „Dziennik Pozn.“, a w trop za nim i „Kuryer Poznański“ — Pisma te, które jeszcze dziś gwałtem propagują budzenie wiary w zgodne pożycie z Prusakami, uderzają ostro w prasę szczerze narodową, w prasę, która z postulatami narodowości nie umie, nie chce godzić zdradzieckich sojuszów z Niemcami.

Pierwszy z tych organów naszej opinii publicznej „Dziennik Poznański“ podnosi szczególnie zarzut przeciwko „Pracy“. która wzywając w gorących słowach do głosowania za kandydaturą p. mec. Chrzanowskiego, zaznaczyła, iż minęły czasy bałamutnych kompromisów z Niemcami, że minęły czasy upokarzających zapewnień wiernopoddańczych, że te czasy minęły i nie wrócą więcej.

Te zapewnienia naszego pisma wziął sobie „Dziennik“ tak do serca, że w swym świętym zapędzie ugodowym — przyszedł do wniosku, że, jeżeli kandydatura p. Chrzanowskiego nie przejdzie, to temu — czytajcie — „Praca“ winna, gdyż swem wystąpieniem radykalnem zraziła — Niemców...

Lecz patrzmy, co **„Dziennik Poznański“** w rzekomej korespondencyi z Wolsztyna w tej sprawie pisze:

„P. Bovenschen, sekretarz związku hakatystów, jeździ razem po wiecach z panem Gersdorffem i rozrzuca tysiącami ulotne kartki między niemieckich katolików, a na tych kartkach są wyjątki z poznańskich „gazet radykalnych“. „Jeżeli nasz kandydat nie przejdzie będzie to głównie winą — tychże gazet“.

Rzekomy korespondent nie wymienia owej prasy radykalnej. Tylko „Dziennik Pozn.“ wymienia od siebie „radykalną Pracę“.

Trafną na to daje odpowiedź „Orędownik“, którego rączej agitacyi zawdzięczamy bądź co bądź nietylko postawienie kandydatury p. mec. Chrzanowskiego, ale też i możliwe przeprowadzenie tejże.

„Orędownik“ daje „Dziennikowi“ oto następującą odpowiedź:

„U Niemców nie trudno wyszukać coś radykalnego w gazetach polskich. Już przed trzema tygodniami poznański „Tageblatt“ podawał takie wycinki, strasząc niemi katolików niemieckich; zdaje nam się prawie na pewno, że znajdował się też tam wyjątek, z „Dziennika Pozn.,“ choć on — obecnie — do radykalnych nie chce się zaliczać.

„Gorszą od owego rzekomego radykalizmu jest w naszej prasie ignoracya i indolencya przy omawianiu spraw wyborczych w okręgu babimojsko-międzyrzeckim. Niektóre pisma, a pomiędzy niemi i „Dziennik Poznań.“ wcale nie informują dokładnie czytelników o tem, co się w tym okręgu dzieje tak po stronie polskiej, jak po stronie niemieckiej.

„Dziennik Pozn.“ podaje wprawdzie szczegóły z pism niemieckich, ale za nic w świecie nie powtórzy żadnego szczegółu z „Orędownika“.

Taka to obsługa sprawy publicznej przy wyborach w powyższym okręgu z strony naszych poważnych organów. — Nie dziw więc, że „Dz. Pozn.“, który dla przeprowadzenia kandydatury pana mec. Chrzanowskiego ani palcem nie kiwnął, bo to kandydat nie po jego myśli, — że ten „Dziennik“ starym zwyczajem, wyczekuje pomocy, a może nawet — zaagitowania ze strony Niemców na korzyść — polskiego kandydata.

Więc prządź wrzeciono „Dziennikowę“ i nadal złudne nadzieje zgody z Prusakami. My w tę zgodę nie wierzymy i nie chcemy w nią wierzyć; nam po prostu wcale a wcale nie zależy na zgodzie z Prusakami, gdyż owoce tejże zgody okupiono by chyba zatratą wszystkiego, co nam drogie, co nam święte.

W tej sprawie zabiera głos **„Goniec Wielkopolski“**, a apelując do zdrowego rozsądku ogółu — zapytuje się z zdziwieniem:

„Czyż jeszcze nie dość ułudy?“

„Zachowanie się tej części prasy naszej, która z postulatami narodowości nie umie godzić zdradliwych z Niemcami sojuszów, nie podoba się ani „Dziennikowi“, ani też „Kuryerowi.“

„Pierwszy z tych organów naszej opinii publicznej, albo też jej braku, podnosi szczególnie zarzut przeciwko „Pracy,“ która wzywając do głosowania za kandydaturą p. mec. Chrzanowskiego, zaznaczyła, iż minęły czasy bałamutnych kompromisów. „Dziennik“ zaznaczył nawet, a „Kuryer“ zawtórował, iż takie ostre wystąpienie przeciwko sojuszom

spowodować może niepomyślny dla nas wynik wyborów w okręgu międzyrzecko-babimojskim, bo zrazi Niemców katolików. Na to odpowiedzieć należy, iż

1) Niemcy katolicy w tymże okręgu, nie czekając aż ich zrażą i odstręczą nasze dzienniki i tygodniki, nie myśleli w bardzo sporej liczbie o tem wcale, ażeby na jakiegobądź Polaka głosy swoje oddać.

2) Sojusze z Niemcami przy wyborach sprawie polskiej nigdy istotnego pożytku nie przynosiły. Bałamucą po prostu tylko wyborców polskich w chwili najwłaściwszej do okazania, ilu nas jest, jakimi jesteśmy i czem chcemy pozostać! To ciągłe wpatrywanie się w centrum, jak w tęczę, łudzi nas niepotrzebnie jak łudziło przez długi lat szereg, odwodząc od właściwej organizacyi samoobronnej, która jedynie nam zawodu nie sprawi.

3) Pragniemy gorąco, ażeby tak dzielna i pożyteczna siła, jak p. mec. Chrzanowski, wyszedł zwycięsko z urny wyborczej, a dlatego też ubolewamy, że kandydatury jego dotychczas w pewniejszym okręgu wyborczym nie stawiono, ale

4) jesteśmy tego zdania, że zasady niezawisłości od jakichbądź sojuszów lub kompromisów dla jednego lub dwóch mandatów poświęcać się niepowinno. Cenniejszem jest jasne pojmowanie odrębności narodowej, wierne rozpoznawanie ideałów naszych przez każdą jednostkę polską, niżli wyższa cyfra krzeseł polskich w parlamencie i w sejmie, z ujmą dla tegoż pojęcia i tegoż rozpoznania zdobyta.

„Posłowie nasi chórem nie mówią na arenie parlamentarnej, a chociażby liczba mandatów polskich się podwoiła, jeszcze byłoby ich mało, ażeby siłą swoich głosów w Berlinie wywalczyć dla nas należące się nam święcie prawa.

„Ztąd też wyraźne zaznaczanie odrębności interesów naszych, jak to uczyniła „Praca“, jest i pozostanie jedynie słusznem i jedynie pożytecznem w naszych powikłanych stosunkach.“

„Gońcowi Wielkopolskiemu“ brawo! Lepiej bowiem jednego posła mniej, a za to więcej świadomości, więcej odrębności narodowej.

Nieoglądajmy się za pomocą niemiecką, lecz liczmy tylko i jedynie na nasze własne siły, gdyż tylko wtenczas będziemy sobą, — tylko wtenczas będziemy narodem polskim, wcielonym gwałtem w państwo pruskie, a nie ludem, nie Prusakami polskiego języka...

A teraz na zakończenie jeszcze słówko do „Dziennika Poznańskiego“, który pod rękę z „Kuryerem“ tak lękliwie trzyma się tej klamki ugodowej i formalnie liże Niemców po palcach za lada uśmiech politowania ze strony niemieckiej.

Jakież były owoce tej ugodowej polityki? Na cóż się zdała ta tyloletnia polityka ugodowa, traktowana w przedpokojach salonów królewskich w Berlinie? Oto: kilka trzeciorzędnych orderów i — komisya kolonizacyjna, wspaniały obiad galowy u kanclerza rzeszy — więzienie za nauczanie języka polskiego. — —

Oto świetny wynik naszej polityki ugodowej!

W celu wyjaśnienia położenia ludności polskiej, zagrożonej w swych najświętszych prawach, odbył się w Poznaniu wiec na sali bazarowej. Marszałkował wiecowi p. Józef Chociszewski z Gniezna. Po treściwem i rzeczowem przemówieniu p. Knapowskiego na temat: „prawnopolitycznego stanowiska Polaków pod zaborem pruskim“, zabrał głos p. Karol Rzepecki, który świetnem przemówieniem na uwięzi trzymał i elektryzował słuchaczów. Referat z tego przemówienia, które wszędzie szczery poklask znalazło, podajemy poniżej, za **Wielkopolaninem:**

„Socyalno-narodowe stanowisko żywiołu polskiego w zaborze puskim wobec hakatystycznych zapowiedzi.“ Mówca na wstępie podał ogólny system wobec żywiołu polskiego. Mówił o bojkocie Niemców we wszystkich dziedzinach społecznych — o tajnych funduszach na wzmocnienie Niemców, o urzędnikach, o kasach dla chorych, o aptekarzach, o robotach więziennych oddawanych naszym przeciwnikom, o Consumvereinach, odbierających zarobki naszym rzemieślnikom, o egzaminach w cechach pod kontrolą niemieckich urzędników administracyjnych, wreszcie o zapowiedziach wykupowania ziemi polskiej od gospodarzy włościańskich i o zapowiedzianych funduszach na wzmocnienie rzemiosł niemieckich. W końcu podawał środki, jakie przedsięwziąć winniśmy celem odporu tego nawału nas mającego zubożyć. Należy zatem starać się, aby uczniowie dobrze się wykształcili w rzemiosłach, w szkołach zawodowych – czeladnicy, aby korzystali ze wszystkich nauk w rzemiosłach, a ludność polska, aby się jednoczyła i łączyła we wspólnym celu, by sprostać mogła tym wszystkim naszym kulturnikom. Przestańmy się bawić, grać w karty, oddawać się pijaństwu. Nie bądźmy zazdrosnymi jeden na drugiego — nie włóczmy się po sądach. Zapisujmy się do firm handlowych. Niewiasty niechaj się licznie garną do wszystkich zawodów. Pracujmy rzetelnie w przemyśle, a gdy dopełnimy wszystkich warunków to hasło „es wird nicht Pardon gegeben“, choćby w czyn weszło nietylko przeciw Chińczykom, ale i przeciw nam, nic nie dokona!“

A oto poniżej podajemy rezolucye, przez wiec poznański powzięte:

Zebrani na wiecu w dniu 4 listopada rb. na sali Bazarowej obywatele Polacy protestujemy przeciw głosom pism hakatystycznych:

jakoby odbyta w Poznaniu konferencya ministrów pruskich znaczyła tyle, co zgoda rządu na dążności i projekta hakatystów,

bo hakatyści to — nie rząd,

a heca hakatystyczna to nie prawo krajowe.

II.

Zebrani na wiecu dzisiejszym obywatele Polacy

manifestujemy:

że niepokój wywołany konferencyą pruskich ministrów wśród całego żywiołu polskiego w zaborze pruskim jest naturalny i uzasadniony dotychczasowem doświadczeniem, jakie społeczeństwo polskie zrobiło z komisyą kolonizacyjną, z skasowaniem nauki języka polskiego, a nawet polskiej nauki religii w szkole.

Protestujemy przeciw ograniczaniu całych mas ludu polskiego w równych prawach i w równych warunkach zarobkowania, nawet w dziedzinie rzemiosła, przemysłu i kupiectwa.

Takie ograniczanie całych mas ludności polskiej, wskazanej na zarobek i dorobek z pracy, musiałoby w następstwie zepchnąć żywioł polski do socyalnego proletaryatu i skazać na powolne wymieranie.

Protestujemy przeciw tym dążnościom i projektom, czy one się objawiają w formie prawa, jako przeciwnym prawu Boskiemu, traktatom wiedeńskim, konstytucyi pruskiej, prawodawstwu krajowemu i całemu prądowi socyalnemu dzisiejszej cywilizacyi, która ludności pracującej ułatwia, a nie utrudnia sposobów życia i wyżycia.

„Protest ten zakładamy w imieniu całego ludu polskiego w zaborze pruskim, tak w kraju jak na obczyźnie.

III.

„Zebrani na dzisiejszym wiecu obywatele Polacy

manifestujemy:

że nie uznajemy i nie uznamy żadnej „wyższej racyi stanu“, w imię której wolno Niemców, pospołu z nami żyjących, z funduszów państwowych ekonomicznie protegować, a nas Polaków rujnować,

żądamy w dziedzinie zarobkowania równego prawa i równych warunków

i na mocy faktu; „że jesteśmy“ obstajemy przy naszem przyrodzonem prawie do ekonomicznego i narodowego rozwoju w zaborze pruskim.

IV.

„Zebrani na dzisiejszym wiecu obywatele Polacy nawołujemy cały lud polski w zaborze pruskim, w kraju i na obczyźnie

do kształcenia i wzmacniania swej siły zarobkowej,

do ekonomicznej solidarności,

do zaniechania życia nad stan,

a zamiłowania oszczędności i wstrzemięźliwości,

przez wzgląd na to, że dążności i projekta hakatystów, szukające u rządu poparcia i sankcyi, mogłyby w przyszłości wywołać dla żywiołu polskiego groźną kwestyą chleba powszedniego, bytu ekonomicznego i narodowego.

„Dziennik Berliński“ donosi o mającym się odbyć wiecu polskim co następuje:

„Wiec polsko-katolicki w Moabicie odbędzie się w święto Ofiarowania N. P. Maryi w środę, dnia 21 listopada r. b. na wielkiej sali Moabiter Gesellschaftshaus, Alt Moabit 80|81. Początek o godzinie 3-ciej po południu. Z powodu nader ważnych spraw mających być na wiecu omawianych, uprasza się o jak najliczniejszy udział Rodaków, zwłaszcza z Moabitu, północy i Charlottenburga. Komitet.“

Zwracamy uwagę rodaków naszych w Berlinie na obwieszczenie powyższe i zachęcamy ich, aby nie omieszkali pojawić się na wiecu. W obecnych czasach bardziej niż kiedykolwiek potrzeba łączności między Polakami na obczyźnie. Każdy wiec dotychczasowy posuwał naprzód sprawę organizacyi Polaków na obczyźnie; mamy niepłonną nadzieję, że i najbliższy wiec zajmie się sumiennem rozpatrzeniem środków, za pomocą których dałby się polepszyć los naszych wychodźców na obczyźnie.

Nie wątpimy też, że jedna sprawa

mianowicie będzie poddana gruntownemu rozpatrzeniu. Mamy tu na myśli kwestyą stosunku kraju do emigracyi.

W kraju niestety — dotychczas za mało się troszczą o narodowe wychowanie przeważnej masy emigrantów naszych. Nasz chłop lub robotnik w kraju dotychczas jest zanadto pozostawiony samemu sobie pod względem narodowym; gazet polskich czyta za mało; zamiłowania do książek nie zdołano w nim wystarczająco rozbudzić; pojęcie narodowości mięsza z pojęciem wyznania; nie posiada pojęcia o przeszłości i teraźniejszym politycznym stanie naszego narodu — a wskutek tego nie ma należytego pojęcia o obowiązkach obywatelskich.

Wykształcenie polityczne i to budzenie świadomości narodowej, jakie dziś jest we zwyczaju, do pewnego stopnia może wystarczyć dla kraju, lecz nie dla emigracyi, a to dlatego, że w kraju rozbudza się narodowość w pierwszej linii wyborców, a więc ludzi, którzy już zbliżają się do trzydziestki.

Natomiast doświadczenie wykazuje, że wychodzą z kraju na obczyznę młodzi ludzie w wieku około dwudziestu lat. Ci idą na emigracyą jak jakie dziczki, zanim zapoznali się z gazetami polskiemi, a gdy im zaczyna brakować opieki „dobrodzieja“ — t. j. księdza proboszcza, który zachęcał ich do wstępowania do towarzystw polskich, — to i całe ich poczucie narodowe gdzieś znika. I potrzeba dopiero ciężkich trudów, aby dopiero na obczyźnie w niektórych z nich obudzić poczucie narodowe.

Gdyby nie to więc, że kraj za mało dba o opuszczającą strony rodzinne młodzież, germanizacya nie czyniła by wśród wychodźców takich postępów, jakie czyni nie napotykając żadnego prawie oporu.

W Berlinie też tej tylko okoliczności przypisać należy masową germanizacyę, że emigrująca z kraju młodzież nie przynosi żadnych prawie zasobów narodowego poczucia. Nie nazywając danego towarzystwa po imieniu, zaznaczymy tu tylko, że jest w Berlinie bardzo liczne i bogate towarzystwo katolicko-niemieckie, które bodaj czy nie w większej części składa się z Polaków. Na zebraniach tego towarzystwa, stojącego pod opieką miejscowego duchowieństwa niemieckiego nikt słowa polskiego nie usłyszy, a te setki wychodźców naszych, które się tam germanizują, pozostają w przekonaniu, że zdrożnego nic nie czynią, bo przecież to jest towarzystwo katolickie — a więc „swoje.“

Sprawie tej, mamy nadzieję, wiec berliński poświęci kilka uwag.

B. M.

Korespondencya specyalna „Pracy“.

Z Galicyi, 14 listopada.

Prawybory do rady państwa są już w najlepsze w biegu. Z wielu stron nadchodzą wieści, świadczące, że smutnej sławy agitator, ks. Stojałowski, nad głową którego 16 spraw karnych wisi, dopnie swego celu i zdoła znowu z otumanionych warstw ludowych wyrwać jeden lub więcej mandatów dla siebie i swych popleczników. Smutny to objaw kolosalnej ciemnoty, jaka zalega jeszcze pośród ludu galicyjskiego. —

W ubiegłym tygodniu wstrząsająca swą tragicznością wieść rozeszła się po Galicyi: umarł bowiem Stanisław Szczepanowski, a niemal równocześnie z nim szlachetny jego towarzysz w ciężkich chwilach życia, jeden z pierwszych pionierów przemysłu górniczego, człowiek niepokalanej prawości i zacności — Odrzywolski. Zmarł w sile wieku, wskutek wypadkowego zakażenia krwi. — Kraj cały długo pamiętać będzie, że pp. Odrzywolski i Wolski jako wielbiciele i przyjaciele Szczepanowskiego cały swój majątek dobrowolnie ofiarowali na pokrycie długów swego mistrza.

Szczepanowski zmarł na obczyźnie, w Nauheim. Szczepanowski przyszedł na świat w r. 1847 w Kościanie, w W. Ks. Poznańskiem. Wykształcenie otrzymał w Anglii. Już tam powziął zamiar przeszczepienia obcych zdobyczy cywilizacyjnych na grunt ojczysty. Praca w sekretaryacie dla kolonii indyjskich, jakoteż w redakcyi „*Timesa*“ dała mu bogaty materyał teoryi, których zastosowanie praktyczne zajęło mu całe niemal dalsze życie.

Po 13-letnim pobycie w Anglii przybył do Galicyi i odrazu zwrócił na siebie powszechną uwagę, jako umysł niezwykle bystry, a ogromnym hartem woli wsparty.

Z młotkiem górniczym w ręku przebiegał wzdłuż i wszerz po ropodajnym pasie Galicyi — i swym zapałem, własnym przykładem, wymową i wszechstronnem wykształceniem nawołując, organizując, tworząc niemal z niczego tę olbrzymią gałęź wytwórczą, jaką już w kilka lat później stał się, tylko dzięki Szczepanowskiemu, nasz przemysł naftowy.

W r. 1886 Szczepanowski, ulegając namowom przyjaciół, dał się nakłonić do przyjęcia mandatu poselskiego, by módz we Wiedniu bronić galicyjskiej nafty przed cudzą konkurencyą. Cel ten osięgnął, przeprowadziwszy stosowną ustawę. Po wielkiej własności stryjskiej oddała mu swój mandat Kołomyja, potem zaś Izba handlowa lwowska.

Ponieważ zaś Szczepanowski nie umiał przyjętych obowiązków zaniedbywać, przeto oddawszy się parlamentaryzmowi, który przez lat 10 wysysał najlepsze jego siły, musiał wyrzec się należytego nadzoru nad własnymi interesami.

Przemysł naftowy, stworzony i doprowadzony do rozkwitu przez Szczepanowskiego, stał się jednem z głównych bogactw kraju, ale nad samym Szczepanowskim zerwała się burza. Wyszedł z niej przytłoczony brzemieniem szlachetnych tylko błędów, wyszedł czysty z podniesionem czołem, ani grosza nie unosząc z milionów, co przelały się przez jego ręce.

Szczepanowski zrezygnował z mandatu do Izby posłów w r. 1897 — zawcześnie dla parlamentu, zapóźno już niestety dla siebie samego.

W niezdrowym, nieskanalizowanym i pozbawionym jeszcze wodociągów Lwowie stale prawie nie wygasa tyfus, obecnie, z powodu dżdżystej jesiennej pory roku wypadki tyfusu we Lwowie przybrały zastraszający epidemiczny charakter.

Powszechnie przypisują powstanie tyfusu niezdrowej wodzie, czerpanej z płytkich studzien z bagnistego gruntu. Śmiertelność wskutek tego wzrosła obecnie olbrzymio.

Najdotkliwiej tą epidemią dotknięta jest właśnie najliczniej zamieszkała dzielnica, zamknięta ulicami, Podwale, Czarnieckiego, Kurkową, Ruską, Blacharską, Boimów, Sobieskiego, Serbską, Zacerkiewną, Dominikańską, placem Dominikańskim, ulicą Ormiańską i przyległemi.

Fizykat miejski zamknął studnię na Podwalu. W dalszym ciągu zarządzeń zamknięto cały wodociąg łyczakowski, zachodziło bowiem podejrzenie, że woda w nim jest zatruta i rozprowadza zarazki. Z powodu zamknięcia tego wodociągu, jakoteż studzien na Podwalu, ludność tamtejsza, a więc z okolic nawiedzonych chorobą, rzuciła się po wodę do Rynku. Zachodziła obawa, że i tutaj woda może zostać zanieczyszczona.

Fizykat miejski zarządził więc czyszczenie studzien w Rynku wapnem, który to proceder odbywa się codziennie wieczorem, rano zaś studnie znowu bywają odczyszczane. Wszystkie środki desynfekcyjne są na razie w ruchu.

Teatr dla ludu zawiązał się obecnie we Lwowie pod egidą „Tow. szkoły ludowej“, stawiając sobie za zadanie dostarczanie ubogim klasom ludowym taniej, przyjemnej a pouczającej rozrywki i odwodzenie ich w ten sposób o ile możności od szynków i pijatyki. Pierwsze przedstawienie tego nowopowstałego teatru odbędzie się z końcem bieżącego miesiąca, a najpóźniej w pierwszych dniach grudnia. Następne przedstawienia odbywać się będą na razie co dwa tygodnie, potem co tydzień. W repertuar wejdą sztuki przeważnie rodzime i to nietylko same ludowe, dawane jednak będą także sztuki tłumaczone lub przerabiane. Każde przedstawienie poprzedzać będą prelekcye, do których uproszono już najwybitniejszych literatów lwowskich. Wogóle krząta się zarząd energicznie około tego, ażeby tylekrotnie już dyskutowaną i omawianą sprawę „teatru dla ludu“ urzeczywistnić.

F. S.

Głosy od Przyjaciół.

Z prowincyi, 10 listopada.

Szanowna Redakcyo !.

Pomiędzy różnorodnemi następstwami rozporządzeń pana Studta jednem z najwidoczniejszych a zarazem jednem z tych, które go może najbardziej martwią, jest bezwątpienia postawa obronna, jaką zajęła prasa katolicka wobec jego rozporządzenia w sprawie nauki religii. Postawa ta zdaje się wskazywać na pewne trudności, jakie bezwątpienia na arenie parlamentarnej rząd by sobie zgotował, gdyby chciał iść dalej obranym przez owego Studta kierunkiem.

Lecz pozostawiając ministra jego kłopotom, zajmijmy się lepiej tem, w jaki sposób podobna postawa prasy katolickiej oddziaływuje na nasze położenie. Jest to bowiem też kłopot — i to zupełnie swego rodzaju. Katolicy niemieccy i ich parlamentarna reprezentacja —

centrum — tyle razy już z nami w ostatnich czasach postąpili zdradziecko i nie po przyjacielsku, że *nie wolno nam brać na wagę złota wszystkiego, co pisze w naszej obronie prasa niemiecka katolicka, bo ona za miskę soczewicy wszystkiego się wyprze.*

Przedewszystkiem — radzi byliśmy, aby pamiętano o tem, że gdy zachodzi tego potrzeba, centrowcy niemieccy, — stare szpaki w polityce, — umieją bardzo łatwo brać naszych wiecznie niedoświadczonych wróbli na plewy teatralnego zapału, deklamatorskich afektacyi i tyrad górnobrzmiącej antirządowej opozycyi, która nigdy w fazę czynu nie przechodzi, a pozostaje zawsze w fazie — frazesu.

Nie mamy prawa wymagać od centrowców tego, aby dla nas mieli wojny staczać z rządem dlatego że nas łączy wspólność wyznania. Jesteśmy i powinniśmy być wdzięczni, za te objawy zainteresowania, których doznajemy teraz od prasy centrowej, — za te publikacye ostatnie, demaskujące germanizacyjną politykę w całej jej ohydzie; nie myślimy ujmować zasługi za te artykuły, ani wątpić o szczerości ich intencyi. Ale z drugiej strony nie wolno nam uważać ich za coś więcej, niż za to czem są, to jest za frazes, za słowo.

W polityce trzeba odróżniać słowo od słowa, frazes od frazesu. Innem jest słowo, za którem czyny następują, innem zaś takie, które jest wyrazem woli nie prowadzącej do czynów. Do tej drugiej kategoryi zaliczamy enuncyacye gazet centrowych w naszej sprawie. Widząc, że tak ważnej sprawy w prasie nikt nie porusza — (owszem, — *Vester* przygotowuje artykuł odnośny dla nas. *Przyp. Red.*) piszę do Szanownej Redakcyi, aby póki czas jeszcze, uchronić nas od jakiegoś możliwego sojuszu z centrowcami, na które jakoś bardzo się zanosi. *My nie potrzebujemy żadnego płacić haraczu — ani w formie polityki ugodowej* ***rządowi,*** *ani w formie sojuszu z centrowcami —* ***katolikom niemieckim!*** Nasze położenie w Niemczech jest zupełnie wyjątkowe, zupełnie wyjąkowe też musi być położenie naszej reprezentacyi w sejmie i parlamencie. To, cobyśmy w zamian za jakiekolwiek usługi komukolwiek dać mogli jest i będzie znienawidzonym sojuszem z Niemcami, koszta którego opłaca sprawa rozbudzenia politycznego naszego ludu. Najsilniejszym jest człowiek, gdy sam stoi — stójmy więc *sami.*

K K.

* * *

Bydgoszcz, 12-go listopada.

Dnia 8 września miał się odbyć wiec polsko-katolicki w Niemczu, w domu gospodarza p. Nowickiego. Ponieważ p. Nowickiemu spaliła się stodoła, przeto wzbraniał się tenże w ostatniej chwili udzielić na zebranie towarzystwa swego pokoju a to dlatego, iż jak się wyraził, władza mu powiedziała, że nie otrzyma ubezpieczonej sumy z kasy ogniowej, jeżeli przyjmie do siebie polskie towarzystwo. Na szczęście znalazł się tamże dzielny wiarus, gospodarz Mikulski, który widząc, na co się zanosi, zaprosił towarzystwo ludowe z Bydgoszczy do własnego domu. Ulokowawszy się, zaryglowaliśmy drzwi, ażeby niepowołani goście nie mieli przystępu. Kółko śpiewu tow. ludowego śpiewało polskie pieśni narodowe. Naraz puka ktoś do drzwi i żąda, aby go wpuszczono. Pan Tomaszewski, przewodniczący tow. ludowego, odryglowawszy drzwi, ujrzał „pikielhauby“ i chciał drzwi pod nosem żandarmów zamknąć. Ostatni zaś, mimo protestu, gwałtem żądali wpuszczenia, oświadczając, że przychodzą dozorować zebranie. Nie pomogły perswazye, iż to nie jest żadne zebranie, tylko są obecni sami goście zaproszeni, tj. tow. ludowe z Bydgoszczy. Żandarmi wyjść nie chcieli. Chcąc nie chcąc musieliśmy się na to zgodzić, bo cóż przeciw uzbrojonej sile zdziałać? Śpiewano więc sobie dalej a żandarm który już kilkakrotnie p. Tomaszewskiego denuncyował, wszystko sobie skwapliwie notował. Nastąpiły deklamacye, między innemi wiersz utworu p. Tomaszewskiego: „Marsz hakatystów“.

Twarze żandarmów oblewały się purpurą, może też i od gorąca, panującego w tym pokoju, ponieważ był szczelnie zapełniony. Gdyśmy się dobrze ubawili, podziękowawszy gospodarzowi za gościnne przyjęcie i pożegnawszy się serdecznie, poszliśmy do domu. Żandarmi towarzyszyli nam aż za wieś. Dnia 3 listopada r. b. stawał p. T. przed sądem, oskarżony o to, iż przewodniczył zebraniu, które nie było policyjnie zameldowane. Świadków stanęło 3, komisarz p. K., wachmistrz żandarmeryi p. H. i główny świadek p. W. Ostatni zeznawał, że p. T. przewodniczył zebraniu i miał burzliwe deklamacye, ośmieszające hakatystów. Komisarz p. K. starał się wpłynąć na sąd, narzucając p. T., że przez częste wiece urządzane w okolicy, polonizuje lud, budzi go z uśpienia, że jest niebezpiecznym, wielkopolskim agitatorem i cała jego działalność agitatorska niekorzystnie wpływa na postępy germanizacyi, że przez ów wiersz ośmieszał i szykanował działalność towarzystwa hakatystów, którzy jak wiadomo, są podstawą rządu i niemczyzny na kresach wschodnich. Pan prokurator wniósł o większą karę lub więzienie. Pan T. w dzielnej obronie zbił wywody tak prokuratora jak świadków. Sąd po naradzie orzekł, że władze wiedzą co się po za temi towarzystwami i pieśniami kryje, lecz podsądnego karać nie można, gdyż nie można udowodnić mu winy. Dlatego trzeba go było uwolnić od kary i kosztów. *Mieczysław Piechowski.*

* * *

Chełmża, Pr. Zach. d. 9. 11. 00.

Szanowna Redakcyo!

Aby nie zabierać wiele miejsca w łamach kochanej Pracy, gdzie każde słowo jest miłem sercu każdego jej czytelnika, więc w krótkości wynurzę me ubolewanie nad nieregularnością ćwiczeń tutejszego Tow. gimn. „Sokół“.

Otóż od kilku tygodni nie mieliśmy ćwiczeń. Chodzę co poniedziałek i czwartek na salę gimnastyczną, lecz zastaję ją zawsze pustą.

Na zapytanie niektórych członków odebrałem odpowiedź:

— Po wczorajszej zabawie każdy czuje się znużony.

Jakto! Czy Sokół powinien doznać kiedy znużenia?!

Mojem zdaniem — nigdy! Czy więc od niedzieli druhowie w czwartek jeszcze się znużeni czujecie? to okropnie!

Co prawda i tu są druhowie którzy rwią się formalnie do ćwiczeń, lecz i w końcu tracą cierpliwość. A co potem?

Czyż upadnie „Sokół“, który ma być perłą nadziei na ziemi gnębionej?

Czy ma po nim w Chełmży pozostać blade wspomnienie?

Tego druhowie nie doczekamy przecież. „Hej, ramię do ramienia!“

Czołem!

Najmłodszy Sokół.

Janinie Omańkowskiej.

Janino! języka ojców opiekunko!
Tyś to cierpiała za sprawę tak świętą
O! dzieci naszych duchowa piastunko
Tyś to za kratę została nam wziętą?!

Więc Tobie bądź po wszystkie wieki chwała,
Cześć i szacunek w całej polskiej ziemi!
Tyś naszym Matkom polskim przykład dała
Jak działać — cierpieć mają z dziećmi swemi.

Karól Kandziora.

Chełmża, Pr. Zach. 22. 10. 00.

Dzielny Polak!

Stały nasz czytelnik i przyjaciel, p. Walenty **Grześkowiak**, zamieszkały w König Ludwig, w Westfalii, nadesłał nam w tych dniach 108 mk. (*sto osiem marek*) jako kwartalną prenumeratę za 108 egzemplarzy „Pracy.“

Dzięki jego zabiegom tylu kolegów górników złożyło na jego ręce prenumeratę. A więc — sto osiem rodzin polskich na obczyźnie zostało zaopatrzonych w pismo polskie, którego jedynem zadaniem jest wzbudzić i utrzymać w sercu każdego Polaka gorącą miłość Ojczyzny. Ile poczciwych serc polskich zostało uratowanych w ten sposób od germanizacyi?

Panu Grześkowiakowi serdecznie dziękujemy za gorliwe poparcie „Pracy“ i zapewniamy, że jego starania zawsze z wdzięcznością wspominać będziemy. A na pokładane w nas nadzieje, których wyrazem jest to, że tak gorliwie „Pracę“ rozszerza, postaramy się odpowiedzieć w ten sposób, aby później każdy z nowo zjednanych nam przez niego czytelników wdzięczny mu był za dobrą radę a w naszem piśmie do końca życia zyskał szczerego przyjaciela, życzliwego doradzcę i przewodnika wśrod walk politycznych, jakie nasz naród staczać musi dziś w obronie najświętszych swoich skarbów.

Oby Bóg dał naszemu krajowi wię-

cej takich światłych dzielnych Polaków, którzy nie szczędzą zachodów i starań, aby tylko rozszerzyć wpływy polskich gazet, dopomódz wzrostowi oświaty ludowej i wśród Polaków na obczyźnie zachować narodowość!

Panu Grześkowiakowi jeszcze raz: dzięki.

Red. „Pracy“.

Oszczędność.

O oszczędności dziś wielu prawi —
I bardzo słusznie, to wielka cnota.
Kto dzisiaj nad stan — często się bawi;
Na zbytnie rzeczy wyda dość złota —
Nic nie odkłada na złą godzinę,
Uczuje później, nie małą winę.

Chcesz więc oszczędzać, mój Bracie drogi!
I w czyn zamienić tak częste słowa?
O, porzuć wszystkie twe złe nałogi:
Dobre uczynki, niech serce chowa.
One ci będą, w życiu osłodą,
A potem w niebie wieczną nagrodą.

Kto chce oszczędzać, niech się nie chwali,
Tylko w cichości, jak może czyni.
Trunków — nie pije, cygar — nie pali,
Wtenczas stan jego pewno się zmieni:
Stanie się możny — choć i bez chaty,
Lecz może w kasie liczyć dukaty.

Na marne stroje kto wiele wyda
I na zabawy, wesoła, chrzciny —
Do tego towar bierze od żyda, —
Ten się zapewne przyzna do winy;
Że nie oszczędza, swego nie wspiera,
Gdy rodakowi bieda doskwiera.

Drogie potrawy, różne wydatki,
Które codziennie są bardzo liczne;
Te uszczuplają nasze dostatki,
Bo to są wady prawie dziedziczne.
Niechaj to wszystko od dziś się zmieni,
A pozostanie pieniądz w kieszeni.

Od słów do czynu idź Siostro, Bracie!
Pracuj, oszczędzaj i szerz oświatę.
Będzie ci dobrze w polu i w chacie,
Kupiectwo, przemysł będą bogate.
Jak Polska długa, szeroka, cała,
Będzie dla swoich — dostatek miała.

A. Pluta.

Chełmce, d. 15. 10. 00.

Z teatru.

(*Sprawa Clemenceau, sztuka A. Dumasa syna*).

Sprawa Clemenceau jest przeróbką z romansu. Odznacza się temi samemi właściwościami, co wszystkie tego rodzaju przeróbki. Mnóstwo szczegółów powieściowych dramaturg wsadzić nie może w szemat swojej sztuki. Chcąc jednakże zachować charakter i koloryt, jaki stworzył powieściopisarz, musi przypiąć do wątka akcyi mnóstwo pobocznych szczególików, które tylko rozpraszają uwagę widza. — Braknie dlatego zawsze tego rodzaju sztukom jednolitości; całość robi wrażenie pstrego kostiumu arlekina.

Młody, pełen talentu rzeźbiarz, Piotr Clemenceau (p. Dąbrowski), syn z nieprawego łoża, dorobił się wielkości i sławy. Dzieło jego dłóta zrobiło wrzawę w artystycznym świecie. Młody artysta zawdzięcza wykształcenie swoje artystyczne staremu mistrzowi swemu, Ritzowi (p. Jakubowski). Rodzina Ritzów jest prawdziwą opatrznością dla młodego rzeźbiarza i jego matki (p. Królikowska). Syn Ritza, Konstanty, lekki a mimo to o męzkim charakterze oficer (p. Knapczyński), oddany zupełnie Piotrowi. — Już na ławie szkólnej, kiedy koledzy prześladowali przyszłego rzeźbiarza jego pochodzeniem, Konstanty brał go zawsze w obronę. Na balu maskowym poznaje Clemenceau młodą Rumunkę (p. Broccard), córkę tajemniczej hrabiny Paulescu (p. Szumlańska). Skąd hrabina P. znalazła się na paryskim bruku, stanowi to niezgłębioną zagadkę. — Mieszka na czwartem piętrze, ubogo. Piękna jej córka, Izabella, robi sakiewki, które znajomi kupują, co stanowi właściwie delikatny rodzaj jałmużny. Młoda Rumunka odznacza się nadzwyczajną pięknością. Na balu maskowym ukazuje się matka w fantastycznem przebraniu jako królowa, córka jako paź. — Clemenceau oczarowany jest pięknością Izabeli. Czarujący paź, zmęczony zabawą i tańcem, spoczywa w przybocznej sali na otomanie i oszołomiony szampanem, wrzawą, przepychem i światłem, — zasypia. Zasypia w tak uroczej pozie, że artystyczna dusza Clemenceau zachwyca się urokiem obrazu. Na poczekaniu szkicuje jej portret. Nie zdążył wykończyć, ale pamięć jego zapamięta szczegóły obrazu. Paź zobaczywszy szkic obrazu, pragnie posiadać swój portret malowany ręką mistrza, i Clemenceau przynosi go wkrótce w wykończeniu do ubogiego mieszkanka „hrabiny“. — Matki nie zastaje w domu; przyjmuje go córka sama. Młodzi zbliżają się do siebie, a młody artysta robi zapewne na Izabelli silne wrażenie, bo gdy tego samego dnia po jego odejściu zjawia się w mieszkanku wielbiciel dawny Rumunki, hr. Mraziano (p. Okornicki), i prosi o jej rękę, Izabella nie przyjmuje oświadczyn. Wprawdzie zachodzi jeszcze mała inna przyczyna: młody hrabia nie jest jeszcze pełnoletnim, majątku nie ma własnego, a ojciec jego zagroził, że go wydziedziczy, jeżeli się ożeni z Izabellą. Ojciec ma lat 50 i może długo żyć. — „Hrabina“ mama oblicza to wszystko i woli już zaręczyć córkę z Clemenceau, który również oświadcza się o jej rękę, a który ma kilkadziesiąt tysięcy rocznego dochodu, sławę i widoki świetniejszej jeszcze przyszłości. — W końcu zaręczyny, to jeszcze nie ślub. Przychodzi jednakże i do ślubu. Po ślubie odzywa się w młodej Rumunce przytłumione dotąd pragnienie bogactwa i świetności. A że hr. Mraziano po śmierci ojca odziedziczył naraz milionowy majątek, — zawiązuje z nim stosunki, przyjmuje od niego podarki, udając przed mężem, że rodzina jej odzyskała po długim procesie dobra swe w Rumunii, i motywując tem zbytek w otoczeniu.

Clemenceau odkrywa niewierność żony. Odkrywa ją przypadkiem: Izabella koresponduje z hr. Mraziano, oddając listy do niego portyerce jego domu, zaopatrzone adresem jakiejś damy. Służąca wyszła, Iza pragnie list wysłać do kochanka, — i Clemenceau ofiarowuje się odnieść go samemu. — Przypadkiem portyerki niema w domu, a córeczka jej zdradza, że pani tego nazwiska nie mieszka w tym domu. — Podejrzenie. — Clemenceau otwiera list i odkrywa całą tajemnicę. — Rozchodzą się; po pojedynku z hr. Mraziano wyjeżdża Clemenceau do Rzymu. Iza idzie na utrzymanie jakiegoś księcia, który otacza ją zbytkiem. Mimo to w obojgu nie wygasła wzajemna miłość. — Dla rzeźbiarza była piękna Iza więcej niż ideałem, źródłem natchnienia, podnietą do artystycznej pracy. — Clemenceau wraca do Paryża, udając się do żony, — a po wybuchach wzajemnej radości robi mu Iza następującą propozycyą: powinni wziąć rozwód, ona nie zmieni trybu życia swego, — a on będzie jej — kochankiem. W przyprowadzonym do krańców panowania nad sobą Clemenceau budzą się resztki dumy i honoru: kładzie koniec własnej męce i spodlenia: zabija ją.

Izabella to typ ulicznej Messaliny, opanowanej żądzą blasku, w której mimo to na dnie duszy drzemią jakieś szlachetne pierwiastki: miłość do męża. — W grze p. Broccard ta dwoistość charakteru nie była dość uwypukloną; była p. Broccard w niektórych scenach prawdziwą, a czasem — prześliczną. — Pan Dąbrowski po raz pierwszy „grał“. — W scenach o silnem napięciu był niezłym. Widać, o ile łatwiej trafić dobrze w ton ogromnie silny, niż w delikatny półton. — Pani Królikowska grała znakomicie, a gra p. Szumlańskiej była poprawna. — Nie wiem tylko, czemu p. Szumlańska tak bajecznie forsuje głos.

Alfa.

Pierwsze wzniesienie się balonu hrabiego Zeppelina.

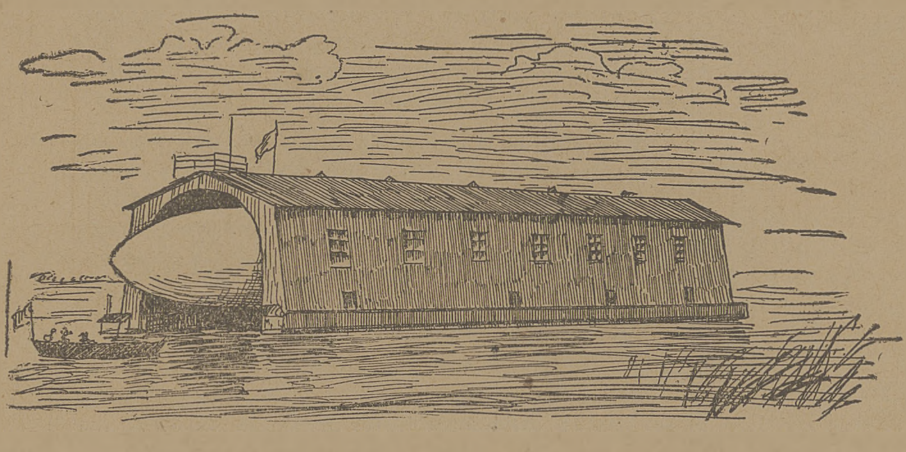
Dzieło, na które cały ucywilizowany świat niecierpliwie czekał, zostało nareszcie ukończonem. Dnia 2 lipca r. 1900, o godzinie 8 wieczorem, wzniósł się po raz pierwszy balon hrabiego Zeppelina, i to balon, którym dowolnie można kierować. Pierwsza próba miała się odbyć już w październiku r. 1899, ale dostarczone wówczas balony nie były jeszcze dosyć nieprzepuszczalne, aby zatrzymać gaz przez dni 14, co jest koniecznem do wzniesienia się balonem. Po rozmaitych i licznych doświadczeniach udało się w końcu radcy handlowemu, panu v. Duttenhofer, szefowi fabryki prochu, wynaleźć materyą, która jest dosyć mocną i ścisłą do zatrzymania gazu. Na materyą tę, nazwaną „ballonin“, otrzymał p. D. patent.

Ponieważ budowa balonu oddawna już ukończoną była, przeto nic nie stało teraz na przeszkodzie pierwszej próbie, i zaraz też zabrano się do tego pod przewodnictwem kapitana Bartscha von Siegsfeld, i kilku oficerów bawarkich z wydziału żeglugi nadpowietrznej. Kapitan von Sigsfeld jest bardzo doświadczonym marynarzem nadpowietrznym, odbył on

już bowiem około 100 takich wycieczek. On też kierował sam napełnieniem balonu i ćwiczył codziennie oddział straży ogniowej i turnerów, w umiejętnem obchodzeniu się z balonem. Doświadczano przytem siłę machin i ważono starannie ciężary, aby je należycie rozłożyć i podzielić.

Wszystkie te przygotowania były już 30 czerwca tak dalece ukończone, że wysłały po kilkanaście parowców więcej, niż zwykle, aby przewieść widzów, a niezliczone tłumy ludzi szły pieszo, lub jechały powozami drogą do Manzell.

Setki łodzi, wielkich statków ciężarowych, motorów wodnych, małych i dużych gondoli pokrywało powierzchnię jeziora — potem zbliżyły się wielkie parowce, okazała flota, złożona z 11 okrętów, a wszystko to ustawiło się jak na paradzie w podwójnej linii, w odległości mniej więcej 800 metrów, naprzeciwko hali, w której spoczywał balon.



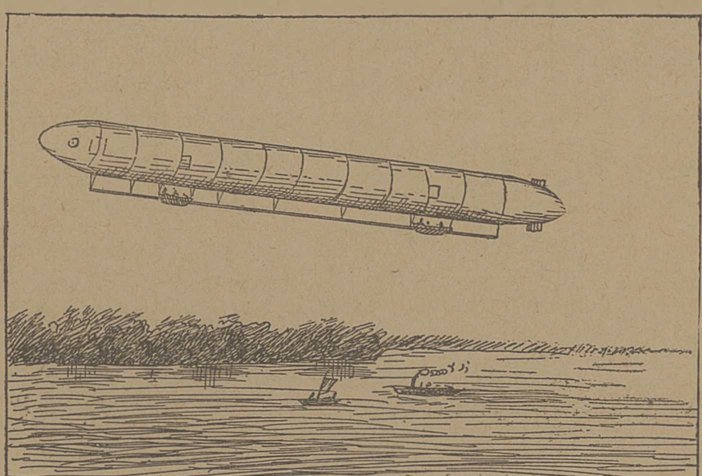
Balon hr. Zeppelina w hali.

próba miała się odbyć tegoż dnia o 5-ej po obiedzie. Nadmienić wypada, że ta podpadająco późna pora dnia wyznaczoną została wskutek dokładnego zbadania prądów powietrza przez prof. Hergesela, najznakomitszej powagi na polu żeglugi nadpowietrznej, i to dlatego, że o tym czasie panują najspokojniejsze i najrówniejsze poruszenia atmosfery ponad jeziorem.

Już na kilka dni przedtem były miasta nad jeziorem bodeńskiem przepełnione ciekawą publicznością, przybyłą z rozmaitych dalszych i bliższych okolic w celu przypatrzenia się niezwykłemu a zajmującemu widowisku.

Ale napełnienie balonu nie mogło być tego dnia ukończonem. Około ósmej wywieszono niebieską chorągiew na znak, że dziś balon się nie wzniesie.

Dnia następnego w niedzielę, odbyły się po raz drugi wędrówki tłumów i po raz drugi wystawiono ciekawość publiczności na ciężką próbę. Powietrze nie sprzyjało tak, jak dnia poprzedniego i wszystkie małe baloniki, które wypuszczano na próbę, wskazywały zbyt silne i przeciwne prądy powietrza. Jezioro było także zanadto wzburzone. Pod tymi warunkami byłyby wszelkie próby nierozsądnemi, o $7^{1}/_{2}$ więc ukazała się znowu niebieska chorągiew, i tłumy rozproszyły się, ale kto czekał cierpliwie, został jednak hojnie wynagrodzony. O wpół do dziewiątej bowiem poruszyła się nagle górna część balonu — wyciągnięto go teraz z hali i ustawiono w całej jego wielkości na tratwach. Straż ogniowa i turnerzy pracowali nieustannie, tak, że balon wzniósł się na 4 metry, ale przytwierdzony był jeszcze sznurami i linami. Wypróbowano maszyny i ster i potem usunięto balon znowu do hali. —



Balon Zeppelina w chwili wzniesienia się w górę.

Towarzystwo „żeglugi nadpowietrznej“ wynajęło obszerny parowiec salonowy „Król Karól.“ aby pomieścić na pokładzie gości, akcyonaryuszy i wszelkie inne wybitniejsze osobistości. Na parowcu tym znajdowali się: książę Robert wyrtembergski, książę Urach, księżniczka bawarska Teresa, minister wojny Schott von Schottenstein, gen. adjutant von Billfinger jako przedstawiciel króla i t. d. Zadaniem załogi parowca było nietylko przewiezienie gości, ale nadto spieszenie na ratunek balonowi, gdyby się tego okazała potrzeba. Zarządy parowców wszystkich pięciu państw nadbrzeżnych

W poniedziałek nareszcie miał balon stanowczo pierwszą odbyć wycieczkę. Powietrze było korzystne, cisza zupełna, niebo pogodne i gładka jak szkło powierzchnia jeziora zachęcały do próby. Przygotowania poczyniono aż do najdrobniejszych szczegółów, i do ostatniej prawie chwili ważono i dzielono ciężary. Napełnianie balonu także już było skończonem, a pomimo to dużo jeszcze czasu minęło, zanim wszystko było zupełnie gotowem.

Kilka minut przed ósmą poruszył się znowu koniec balonu i z majestatycznym spokojem, wypłynął olbrzym z hali. Ostatnie promienia słońca oświecały go złotym blaskiem, a widok ten był rzeczywiście imponującym. Na tratwach stała straż ogniowa i mały oddział wojska — wszyscy trzymali sznury — potem dały się słyszeć krótkie słowa wojskowej komendy i — zwolna uniósł się balon w górę! Z początku zwrócił się górną częścią ku wschodowi, tak minął halę i teraz można było dokładnie rozpoznać siedzących w gondolach żeglarzy. W pierwszej znajdował się hrabia Zeppelin, trzymający ster i kręcący korbę ciężaru, obok niego siedział baron Bassus, przedstawiciel monachijskiego Towarzystwa żeglugi nadpowietrznej, oraz technik Burr, który od początku czynny brał udział w budowaniu balonu. W drugiej gondoli znajdował zię znany podróżnik Dr. Wolf, również wielce doświadczony żeglarz nadpowietrzny i maszynista Gross. Ale dotychczas trzymano zawsze jeszcze sznury, tratwy płynęły razem z balonem i stanęły dopiero w odległości kilometra od hali. Teraz zwolniono znowu trochę liny, i balon podniósł się wyżej — koniec jego pochylił się cokolwiek, aby zaraz potem wrócić do poziomego położenia.

Nagle rozległ się okrzyk: — puścić, i balon, uwolniony od wszelkich sznurów, wzniósł się wolno i wspaniale, a zachwycona i zdumiona publiczność mogła wyraźnie widzieć czynność machin i szruby skrzydeł poruszające się z szaloną szybkością (1200 razy na minutę). W powietrzu słyszeć było szum, cichnący z każdą chwilą. Balon podniósł się do wysokości mniej więcej 100 metrów i płynął w kierunku wschodnim, potem, pod wpływem steru zwrócił się na południe, i prawie prostopadle minął łódź, w której siedziałem.

Widzieliśmy zupełnie dokładnie rozmaite manewra, jakie kierownik wykonywał i mogliśmy równie dobrze obserwować poruszenia t. zw. wioseł. Za pomocą ruchomych ciężarów przybierał balon położenie ukośne i wznosił się coraz to wyżej, potem zataczał koło z kierunku zachodniego ku kierunkowi południowo-wschodniemu i znowu szedł wyżej. Chwila, w ktorej stanął nieomal zupełnie prostopadle, była dla widzów okropną — serce przestało nam bić ze strachu, na myśl, że maszyny mogą wypowiedzieć posłuszeństwo, ale znów spuścił się znowu zwolna do położenia poziomego, i zwrócił się na północ, a potem na zachód. Nagle ujrzeliśmy go zniżającego się w kierunku ukośnym, gdy znajdował się już tylko o 50 metrów po nad powierzchnią jeziora, przybrał napowrót położenie poziome, i spuścił się dosyć szybko na wodę, tuż przy pomoście wylądowania w Immenstadt, o 10 kilm. od Friedrichshafen. *M. P.*

Warszawa.

I.

Huk dorożek. Ulicą płynie bezustanna
rzeka ludzi, pojazdów, koni. Grzmi po bruku,
na zakrętach się łamie, wśród gwaru i huku
kaskadami w uliczki wpada i — zachłanna —

ssie znów z domów i ulic wciąż potoki nowe,
wzrasta, szumi, głów ludzkich pstrą ocieka pianą,
czasem krwią bryźnie, stanie i z siłą wezbraną
toczy znowu przez miasto swe fale stugłowe.

A w koło, jak brzeg stromy, stoją wielkie domy,
a wyżej, ponad dachów wzniesione załomy
kościołów wieże, cerkwi kopuły złociste,

a jeszcze wyżej — niebo spokojne i czyste — —
i tak miasto wygląda, jakby jeszcze żyło,
a nie stuletnią było, otwartą mogiłą...

II.

Poszedłem do Łazienek. Park królewski stary
drzemał w słońcu i ciszy. Na zwierciedle wody
wsparłszy białe, w marmurze wykowane schody,
pałac lśnił przez zielone gęstych drzew konary.

A z drzew na białe barki nimf, na strojne panie,
na przechodniów tłum barwny, gwarny, uśmiechnięty
leciał gęsty liść, żółty, przedwcześnie zwiędnięty
tu — gdzie niegdyś królowie mieli swe mieszkanie...

I tak mi się zdawało, że w tym parku słyszę,
przez gwar rozmów idące i przez nieba ciszę,
łkanie jakieś nieśmiałe, głuche, przytłumione

— z drzew, czy z nieba, czy z ziemi?... Tłumy rozbawione:
snadź to drzewa, gdy wiatr je niewidzialny ruszy,
płaczą tak... a bez ucha w niewolników duszy?

III.

O wspomnienia, wspomnienia! o długie powieści,
których dzieckiem słuchałem, płacząc! O Warszawo,
z pod uśmiechu mnie zawsze błyskasz twarzą krwawą;
skróś twe gwary szczęk słyszę walk i płacz niewieści...

To Krakowskie Przedmieście. Płyną tłumy strojne.
— Czy procesya?... Głos dzwonków, zda się, srebrny słyszę,
śpiew — urwany, a potem wpadający w ciszę
grzmot wystrzałów, krzyk... Drgnąłem. Nic. Miasto spokojne.

Idę dalej. W tem — oto przed oczyma memi —
czy to opar krwi duchem wytrysnął z pod ziemi
i skrzepnąwszy w posągu, na płomiennej zorzy

trwa, aż wstanie i zagrzmi i ludy potrwoży?...
Wzniósłem oczy: przedemną stał On, wieszcz, spiżowy,
król ostatni, z zachodniem słońcem koło głowy.

IV.

A zdaleka, przez błękit, z Zamkowego placu
Zygmunt trzeci nań patrzy. Na szczycie kolumny
już przez długie trzy wieki niewzruszony, dumny,
twarzą od bezpańskiego odwrócon pałacu,

ponad morze faliste dachów na błękity
wyniesiony marmuru słupem, o krzyż wsparty,
z szablą w ręku odbywa swe królewskie warty,
Za nim w dali katedry poczerniałe szczyty.

W dole wre życie. Wszystko naokół się zmienia:
miasto, ludzie, kraj, chwała, nadzieje, cierpienia;
trzechwiekowa się pod nim przewaliła burza

i krwią nieraz ociekły pomnika podnóża:
— on przy szabli, oparłszy dłoń na znaku Wiary,
duma, jak mu Żółkiewski do nóg przywiódł cary...

V.

Czy to prawda? Istotnież to hetman zwycięzki
tam na Kremlu zatykał orłowe sztandary?
Powiedz, powiedz, posągu ty królewski stary,
czy to prawda? Jak wierzyć... po stu latach klęski!

I ty królu?... Gdzie świadki? W stare miasto idę
pytać domów, co z wązkich ulic swych widziały,
tryumfalne pochody ongi — za dni chwały,
a dziś widzą niewoli pęta i ohydę.

Lecz domy milczą. W kręte wciśnione zaułki
fasady swe strzeliste, dachy i przyczółki
przytulają do siebie i okiem ponurem

patrzą w miasto, co tam się za zwalonym murem
wciąż rozrasta, im obce, błyszczące z oddali
i na ludzi, co w wielkich domach żyją mali.

VI.

Tłum mię porwał. Płynęła ludzi ciżba mnoga
ku Wiśle, gdzie w powietrzu ponad płowe fale
mostu szkielet olbrzymi rozparł się zuchwale
sztab żelaznych żebrami. To na Pragę droga!

I uczułem, że coś się we mnie iść tam wzdraga:
tam pod stopą z pod bruku wytrysnąć gotowa
krew rozlana przez dzikie hordy Suworowa,
niepomszczona — i wołać: zzuj obuwie! Praga!

A po co lud ten idzie? na jakie obchody?
czy Ojczyzny tam płakać nad brzegami wody
I trącać harfy smutne, na drzewach wiszące,

gdy już mieczów nie zdzierżą jego dłonie drżące?
— Tam muzyka, chorągwie i światła jaskrawe:
do parku Aleksandra lud szedł na zabawę.

VII.

Oczy dłonią zakryłem, bo mi było wstydno
być kamieniem grobowym tam, gdzie nie pamięta
nikt, że pod nim mogiła jest krwawa i święta,
kędy tańczyć — w kajdanach — jest rzeczą ohydną!

Gdzież, pytałem majestat twego bólu, wdowo,
z którym niegdyś hańbiące nosiłaś powrozy?
gdzie męczeństwa nimb, który blaskiem świętej grozy
czoło twe koronował w upadku, królowo?

Ja tu, pielgrzym, do ciebie szedłem, jak do Mekki,
w twarz nieśmiejąc ci pojrzeć spuszczałem powieki —
gotów proch twój całować, jak relikwie święte,

mówić cicho, by serce twe — jak dzwon — pęknięte
nie odjękło na głos mój w jaki zgrzyt ogromny:
a ty tańczysz! — O ludu biedny i niepomny!

VIII.

Szedłem smutny z powrotem i z spuszczoną skronią,
potrącany w ulicznym zamęcie i tłoku,
który przez łzy, co mgłą mi osiadły na oku,
bezcelową się jakąś wydawał pogonią.

Czegóż czekać, gdy wszystko w puch się już rozwiało?
Czyż nie śmieszna nadzieję mieć i wznosić ducha
tam, gdzie nawet nie tryska już krew z pod obucha,
ani cisną kajdany — już wrośnięte w ciało?

Jest-że jeszcze i z takiej śmierci zmartwychwstanie?...
Wtem — jak gdyby odpowiedź na moje pytanie —
ponad tłumem ulicznym, na ganku kościoła:

zgięty pod krzyżem, ale z promieniem u czoła
Chrystus, z ręką wzniesioną, jakby przez Golgotę
szedł już, jak przez próg, w niebo otwarte i złote —
a napis: *Sursum corda!*

IX.

O święty grodzie Polski! o Jerozolimo,
smutnych naszych proroków opłakana łzami,
krwią męczenników naszych zmyta! Dziś cię plami
rezygnacya niewoli, co jest ciężką zimą

wieków ziarnu ludzkiemu: ale z wiosną, z wiosną,
gdy światu pękających lodów huk obwieści
Zmartwychwstanie — zakwitniesz, ty grodzie boleści,
jako sad, co się szatą przystraja radosną!

Bo nie wierzę, by siejba to być miała marna,
co w twą rolę rzucała boleściwe ziarna:
męczenników krwią ziemia pod twym brukiem żyzna

i są wichry w ulicach, co mówią: Ojczyzna!
i jest krzywdy siew żywy, chociaż utajony,
który wschodząc rozsadza skaliste zagony!

Jerzy Żuławski.

KRWAWE OFIARY.

Powieść z francuzkiego

przez

F. de B.

(Ciąg dalszy.)

Drzwi otworzyły się.

— Pilno im było, — myślał naczelnik — zapomnieli zamknąć fórtę, albo może klucza nie mieli. Morderca wchodził do tej kobiety, jak do siebie. Nikt mu nie otworzył, bo nie widać śladów służącej. Głuchoniemy szedł z nim razem. Zapewne zastali fórtę otwartą. Zobaczymy, czy i drzwi także.

Obszedł podwórze naokoło, aby śladów nie zatrzeć i dotarłszy do drzwi wchodowych, zobaczył, że jedno skrzydło jest niedomknięte.

Wszedł i znalazł się w obszernej sieni; w głębi były schody.

Sień zastawiona była kuframi i torbami podróżnemi rozmaitych kształtów i rozmiarów; między innemi był kufer długi taki sam, jak ten, który niemowa niósł na plecach.

— Gdybym miał jeszcze jakie wątpliwości; — myślał szef policyi — ten kufer rozproszyłby je ze szczętem. Zdaje mi się, że będziemy mogli obejść się bez pomocy pana Tolbiaca de Tichebray. Otworzymy niebawem te kufry, a znajdzie się w nich chyba jaka poszlaka. A teraz obejrzymy apartament.

Było dwoje drzwi po obu stronach sieni. Otworzył pierwsze na prawo i znalazł się w salonie umeblowanym dziwacznie.

Obok fotelów w stylu Ludwika XVI, pokrytych pięknemi dywanami, stały krzesełka pierwszej lepszej modystki. Firanki były jedwabne, ale wystrzępione i wytarte. Na kominku pomiędzy dwoma cennemi wazonami japońskiemi stał szkaradny zegar bronzowy. Pospolity żyrandol zwieszał się od sufitu; przy pięknych lustrach weneckich stały cztery, stylowe świeczniki. Wszystko było widocznie pokupowane okazyjnie na wyprzedażach.

W kominku tlał jeszcze ogień. Spalono w nim widocznie papiery, gdyż piętrzył się stos popiołów.

— Trzeba to także obejrzeć — myślał naczelnik, podnosząc portjerę, oddzielającą salon od buduaru bez okna, gdyż dom oświetlony był tylko od frontu.

Ten drugi pokój był więc ciemny. Szef policyi dostrzegał tylko zegar w szafce, dość szeroki i wysoki, aby człowiek mógł się w nim ukryć i stolik, na którym rozłożone były karty w różnych szeregach. Przy stoliku leżało krzesło wywrócone.

— Dama kładła pasjans w chwili, gdy jej cios zadano... Zabito ją tutaj... Muszę przeliczyć te karty, żeby się przekonać, czy nie braknie damy pikowej — myślał naczelnik.

Oprócz przewróconego krzesła wszystko stało w porządku. Zegar szedł.

Szef policyi wrócił do salonu, przeszedł sień i drugie drzwi otworzył. Był to pokój jadalny.

Stół był nakryty. Dwa talerze postawione naprzeciw siebie, oznaczały miejsce obojga biesiadników. Zaczęty pasztet z wątróbek i kosz winogron świadczyły, że nie zważano na wydatek, gdyż w styczniu winogrona są drogie.

Widocznie kolacya musiała być nagle przerwana, bo wszystko było porozrzucane na stole i dokoła.

Na posadzce leżało krzesło. Dwie wywrócone karafki zalały obrus wodą i winem. Na podłodze leżały szczątki butelek i talerzy.

— Ha! — myślał szef policyi — omyliłem się. Zamach został spełniony nie w buduarze, ale tutaj... Stan zwłok świadczy, że nie było walki, między ofiarą a mordercą... a ja tu widzę ślady krwi zaciekłej... To dziwne.

...Na podłodze ślady krwi... Przyjrzyjmy się obrusowi... Splamiony tylko winem... kobieta została więc ugodzona w postawie stojącej. Dlaczegóż rana tak się zakrwawiła? Ostrze sztyletu nieduże, a krwiotok musiał być wewnętrzny.

...Tutaj znowu kałuża krwi... Coraz nowe niespodzianki... Dokąd prowadzą te drzwi?... Ha... jeszcze jeden pokój... Czyżby nieszczęśliwa tam uciekła... Zobaczymy?...

Szef policyi popchnął drzwi uchylone.

Jakto! Jeszcze jeden! — zawołał, cofając się z przerażenia.

Na podłodze leżał trup z rozpostartemi rękoma.

Były to zwłoki mężczyzny około lat pięćdziesięciu, wysokiego, tęgiego, ubranego wykwintnie.

Duży łańcuch złoty, zwieszał się u kamizelki białej, krwią zbroczonej. Czarny krawat jedwabny był poszarpany: jedna klapa tużurka podarta.

W kącie leżał kapelusz i paltot.

Twarz, bezwąsa, okolona siwemi faworytami, czoło zdruzgotane, oko wybite.

— Sprawa się wikła — myślał naczelnik. — Ten człowiek został ugodzony laską o żelaznej gałce, walczył z mordercą. Schwytano go najprzód za krawat i kołnierz... Walka toczyła się przy stole... Nieszczęśliwy runął... Odciągnięto zwłoki aż tutaj i pozostawiono je, nie myśląc na razie o ich usunięciu... Morderca zamierzał wrócić po nie, załatwiwszy się z trupem kobiety... Włożyłby je zapewne do drugiego kufra i kazał nieść głuchoniememu.

Szef policyi zastanawiał się dalej:

— Dziwna rzecz, że morderca nie postąpił sobie tak samo z tym jegomościem, jak z kobietą... Zabił ją z nienacka, jednem pchnięciem sztyletu... Z mężczyzną bił się zapamiętale... Pewno, że nie łatwo zamordować takiego tęgiego chłopa...

...Ciekaw też jestem, co to za jeden... Wygląda na kupca, na protektora owej damy. Nie trudno będzie sprawdzić jego tożsamość. Musi mieć jakiś dom handlowy, jakąś rodzinę... Gdzieś go chyba szukają... Zresztą kto wie, czy nie znajdziemy przy nim biletów wizytowych lub papierów. Człowiek z takim wyglądem nie rozstaje się z pugilaresem.

...Jedno jest niewątpliwe: że go nie zabito dla grabieży, że pieniądze nie odegrały żadnej roli w morderstwie tej kobiety.

Zatem badania prowadzić się będą w świecie burżoazyjnym... Świat oszustów i złodziei pozostanie na boku.

Jest to sprawa „wytworna,“ wchodząca w zakres specyalności ojca Lecoqa. Jaka szkoda, że stary nie chce nam pomódz! Nie stracił on jeszcze rzeźwości umysłu... Wszak otrzymałem od niego dwie dobre rady. Gdyby nie on, błądzilibyśmy po omacku... A teraz trzeba się namyślić, co dalej robić.

Powrócił do sali jadalnej i machinalnie zbliżył się do okna, wychodzącego na podwórze.

Zmrok już zapadał; ulica była cicha i pusta. Dorożka, w której Pigache pilnował głuchoniemego, stała wciąż przed fórtą. Piédouche krążył po chodniku.

— Nikt się niczego nie domyśla w tej dzielnicy — myślał naczelnik. — Wie o zbrodni tylko węglarka, ale można ją osaczyć w sklepie i zamknąć jej usta groźbą. Taka sytuacya zdarza się rzadko w sprawach kryminalnych. Należy ją wyzyskać.

— Tak — ciągnął dalej, krążąc po pokoju jadalnym — myśl wcale nie zła. Trzeba zastawić tę pułapkę... i to zaraz... Nikt się nie da w nią złapać potem, gdy sprawę roztrąbią dzienniki... Widzę już artykuły pod nagłówkiem: „Zbrodnia przy ul. de l'Arbolète...“

Wszak morderca czytuje gazety... Póki jednak sądzi, że nie odnaleźli miejsca katastrofy, dopóty ma ręce rozwiązane.

Wie, żeśmy aresztowali głuchoniemego, ale jest pewny, że go nie zdradzi, skoro nie umie czytać, ani pisać, ani porozumiewać się na migi... Musiał go wychowywać umyślnie dla zapewnienia sobie bezpiecznego wspólnika... Trzeba będzie umieścić tego chłopca w instytucie głuchoniemych.

Gdy go wykształcą, może nam powiedzieć wiele rzeczy ciekawych, a tymczasem złapiemy jego pana.

Ha, czemuż by nie miał tu wrócić dzisiaj po drugiego trupa? Pilno mu było usunąć zwłoki kobiety i nie miał czasu przywrócić tu porządku... Tamten trup musi go niepokoić, zwłaszcza, jeśli mu nie zabrał papierów i legitymacyi.

Zresztą, jeśli dowody zbrodni pozostaną nietknięte do jutra, policya nic na tem nie straci.

Sposób nie nowy, ale zawsze skuteczny, a dla większej pewności sam go spróbuję.

Tak, niema się co wahać... zastawię ptaszkowi sidła.

Powziąwszy taką decyzję, szef wrócił do sieni, przeszedł przez podwórze, okrążając ślady stóp i zbliżył się do Piédoucha, który mu oznajmił:

— Węglarz już wrócił. Żona opowiedziała mu zapewne o co chodzi, bo się zatarasowali w sklepie; zdaje mi się nawet, że poszli spać bez wieczerzy. Zaglądałem przez dziurkę od klucza. Świeca zgaszona.

— To bardzo dobrze. Powiesz Pigachowi, by wrócił do więzienia, oddał głuchoniemego w ręce dozorców, a potem przyszedł tutaj z dwoma silnymi numerami.

— Rozumiem. — A ja?

— Ty będziesz pilnował fórty, a gdy tamci przyjdą, rozstawisz ich według własnego uznania. Byle nie zablizko. Gdy zawołam, ty do mnie przyjdziesz.

— A więc to pułapka?

— Tak, znasz ten system. Zostawia się mysz w dziurze i czeka, aż wpadnie w zasadzkę.

— O! pan naczelnik może być spokojny. Nie drgnę, dopóki nie usłyszę gwizdawki. Koledzy będą strzegli obu końców ulicy. Robota przeciągnie się zapewne przez całą noc, bo myszy wychodzą ze swoich nor późno, a teraz piąta zaledwie.

— Poszlesz jeden numer po chleb i ser. Musi być zapewne jaka piekarnia i skład korzenny przy ulicy des Feuillatinnes.

— A pan, panie pryncypale?

— Ja będę jadł jutro rano. Do roboty, mój chłopcze. Idę na swoje stanowisko, ty pilnuj swego... Ale prawda: może być kobieta.

— Kobieta?

— Tak, znikła służąca. Wróci może po kufry swojej pani. Jednak na to nie liczę; sądzę raczej, że przyjdzie tu pan owego niemowy. Ktokólwiekbądź się zjawi, ty rób swoje.

— Dobrze, panie naczelniku.

Agenci tajni rozumieją półsłówka. Szef nie uznał za właściwe rozwijać dalej swego planu.

Wrócił spiesznie do domu i szukał kryjówki.

Tymczasem noc już zupełnie zapadła. Naczelnik chciał mieć światło pod ręką, by módz dojrzeć mordercę, jeśli się zjawi. Lecz to światło nie miało być widziane z zewnątrz.

Szef policyi wszedł do buduaru, pozostawiając otwarte drzwi do salonu i do sieni, aby słyszeć kroki mordercy, skoro tylko wejdzie do owej sieni.

Uchylił drzwi do salonu, by Piédouche mógł słyszeć gwizdawkę.

Na stole od kart stały dwie świece w srebrnych lichtarzach; musiano je zgasić zaraz po dokonaniu morderstwa.

Szef policyi zapalił jedną i postawił lichtarz na podłodze w kącie.

Potem rozejrzał się i szukał punktu, z którego mógłby widzieć, nie będąc widzianym.

Wpadł mu w oczy zegar w szafce. Szafka była tak duża, że mógł się w niej ukryć swobodnie. W pudle był otwór, wykrajany w kształcie serca, przez który dochodziło powietrze, klucz tkwił w drzwiczkach.

Naczelnik otworzył szafkę, przekonał się, że w niej się zmieści, nie przeszkadzając poruszeniom wahadła.

Wiedział już, co zrobi w razie danym, a tymczasem usiadł na fotelu, tuż przy drzwiach od korytarza i czekał.

— Przy pierwszym szeleście — myślał — schowam się do szafki. Jeżeli przestępca podąży naprzód do pokoju jadalnego, wyłonię się cichutko z mojej kryjówki i zagwiżdżę. Trzeba tylko uzbroić się w cierpliwość.

Trzeba jej było istotnie dużo, by spędzić noc w tem miejscu zbrodni, o kilka kroków od trupa i trzeba było sporo odwagi, by stawić czoło, bodaj na kilka minut, mordercy, który nie zawaha się pewnie przed trzecią zbrodnią, dla osłonięcia dwu pierwszych.

Ale cierpliwość i odwaga są niezbędnemi zaletami każdego policjanta.

Naczelnik usiadł w fotelu i przypomniał sobie wszystkie okoliczności tej dziwnej sprawy, rozważał wszystkie szczegóły.

Nie mógł dojść do żadnej konkluzji i powiadał sobie, że trzeba będzie jednak użyć pomocy Tolbiaca.

Godziny płynęły za godzinami, zegar wybijał je głośno.

Wydzwonił był właśnie dwunastą a szef policji chciał zapalić drugą świecę, bo pierwsza dogasała, gdy usłyszał lekki szelest.

Skrzypnęły drzwi wchodowe. Ktoś chodził ostrożnie po kurytarzu. Kroki zbliżały się do buduaru.

Szef policji schował się do szafy zegarowej.

Niebawem głos przyciszony spytał:

— Marjo, czyś tutaj.

Naczelnik powstrzymał oddech, by swej obecności nie zdradzić.

Na ulicy panowała cisza, więc było słychać każdy szelest. Zaczajony w zegarze obserwator żałował, że wchodząc do szafki, zatrzymał niechcący ruch wahadła, bo jego cykanie głuszyłoby oddech tłumiony.

Zresztą gość nocny nie domyślał się zapewne, że jest śledzonym, gdyż wymawiając imię poszukiwanej kobiety, dostarczał ważnej wskazówki policji.

Naczelnik jej dowiedział się z samych ust mordercy, że w domu była kobieta, zwana Marją.

Szef policji zdwoił czujność. Słuch natężał i wysilał wzrok przez otwór w szafce.

Zbrodniarz szedł po cichu, zbliżał się do buduaru, miał podnieść portjerę.

Przedtem jednak zawahał się i powtórzył poprzednie słowa po angielsku.

— *Are you here, Mary?*

Naturalnie nikt mu nie odpowiedział.

— Dobryś! — myślał naczelnik w szafie — ta kobieta jest Angielką lub przynajmniej po angi lsku rozumie. To ważna wskazówka.

W fałdach portjery ukazała się głowa w cylindrze, który zamigotał w świetle dogasającej świecy.

Trudno było dojrzeć twarz nowoprzybyłego, tem bardziej, że lichtarz stał na podłodze. Szef policji widział tylko czarną, gęstą bródkę, na czoło i górną część twarzy padał cień od cylindra.

Naczelnik był pewny, że ten nocny maruder jest sprawcą zbrodni, lecz wahał się, czy gwizdnąć teraz, czy poczekać.

Wszak przestępca nie przychodził bez powodu do domu, w którym leżał jeszcze trup jednej z jego ofiar.

Szef policji domyślał się tego powodu — tak mu się przynajmniej zdawało.

— To jasne jak dzień — rozumował. — Ten łotr wie o aresztowaniu głuchoniemego, wie, że przewieziono jego ofiarę do Morgi. Lecz nie wie jeszcze, żeśmy odszukali dom, w którym dokonał zbrodni i że czekamy tu na niego.

Przypuszcza jednak, że na kilka dni najdalej, wykryjemy miejsce katastrofy.

Choćbyśmy nawet sami nie wpadli na trop, to wcześniej czy później sąsiedzi zaczęliby się dziwić nagłemu wyjazdowi lokatorki pawilonu, a przytem woń trupa rozległaby się po całej ulicy.

Zatem nasz morderca powiedział sobie, że należy skorzystać z pierwszej nocy dla usunięcia śladów zbrodni.

Przyprowadzi pokój jadalny do porządku, wpakuje trupa do jednego z kufrów, stojących w kurytarzu i w nieobecności głuchoniemego, sam weźmie kufer na plecy.

Ta Marja, którą przyzywał przed chwilą, była zapewne służącą, może jego wspólniczką. Nie mogąc się go doczekać, zeszłej nocy uciekła, zostawiając drzwi otwarte, aby mógł wejść.

Węglarka wspominała już, że ta dziewczyna miała jechać do Anglji. Teraz on przemówił po angielsku.

Znam już całą sprawę na palcach.

Ale mamy do czynienia z wytrawnym zbrodniarzem; jeżeli go zaresztuję, zanim swoje dzieło rozpocznie, gotów wymyślić jakąś bajeczkę dla upozorowania swej obecności tutaj.

Ja na jego miejscu nie łamałbym sobie głowy. Może powiedzieć śmiało, że kochał się w zamordowanej kobiecie . . że przychodził ją odwiedzać z ukradka. . . Jeżeli przytem jest dość sprytny, by zmienić sobie fizjognomję, dajmy na to, sztuczną brodą, by zmienić nazwisko — co nie trudno, gdy się jest cudzoziemcem, to może powikłać śledztwo i przeciągnąć je z pół roku.

...Nie, nie. Cierpliwości. Pozostanę w tem pudle. Musimy ptaszka złapać na gorącym uczynku... To jedyny sposób, by uniknąć jego zaprzeczeń.

Idź, kochanie, idź obmywać posadzkę w jadalni, pakuj trupa do skrzyni. Gdy ją sobie włożysz na plecy, chętnie ci pomożemy.

Mam przy sobie świstawkę. Okno od salonu otwarte, a Piédouche ma słuch bystry.

Załatwimy się z tobą szybko.

Te myśli przebiegły przez głowę naczelnika sto razy prędzej, niż je wyłuszczyłem na papierze, prędzej, niż mężczyzna w cylindrze zdołał buduar obejrzeć.

Szef policji, postanowiwszy czekać, stał cichutko.

Na wszelki wypadek trzymał gwizdawkę w ręku; dość mu było podnieść ją do ust, by przyzwać dzielnego Piėducha.

Nic więc nie ryzykował, a mógł wiele zyskać, dając czas zbrodniarzowi dokonać swego dzieła.

Gagatek stał na miejscu i patrzał przed siebie, nie podnosząc głowy.

Widocznie wzdrygał się na samą myśl przekroczenia tego progu.

— Nie ma jej tutaj, — szepnął po francusku.— Gdzież jest?

Naczelnik pił jego słowa chciwie.

Gubisz się, łotrze — myślał. — Szukaj ile chcesz swojej wspólniczki, nie znajdziesz jej... Sprytniejsza od ciebie... Umknęła... Ale ją przyłapiemy dziś jeszcze.

Uderzony nagłą myślą, zwierzchnik Piédoucha rzekł sobie:

— A nuż schowała się na pierwszem piętrze... Szkoda, że nie zwiedziłem górnych apartamentów... Zapomniałem o tem, ujrzawszy trupa...

— Świeca na podłodze... Ciekawa rzecz, kto ją tu postawił -- monologował nocny maruder.

W chwili tej świeca zagasła, ostatni jej blask padł na gwizdawkę, którą szef trzymał na wysokości ust, to jest w otworze, wyrzniętym w szafce zegarowej.

Rozszedł się zapach niezbyt wonny, jak zwykle od gasnącej świecy.

Siedząc przez kilka godzin w nieopalonym buduarze, szef policji dostał kataru, czego nawet nie zauważył.

Katar czekał tylko sposobności, by się objawić. Wyziewy świecy sprowadziły kichnięcie potężne, które się rozległo echem wśród ciszy.

Kichając, szef policji upuścił z rąk świstawkę, która upadła na dno szafki zegarowej.

Zanim naczelnik zdołał się upamiętać, zbrodniarz ze zdumiewającą zimną krwią i szybkością pobiegł do zegara i zamknął na klucz, schował klucz do kieszeni i uciekł.

Szef policji, złapany we własną pułapkę, nie mógł go ścigać sam, ani też zaalarmować swoich podwładnych.

ROZDZIAŁ IV.

Szef policji, uwięziony w szafce zegarowej, nie mógł nawet przywołać na pomoc swoich podwładnych, upuścił bowiem świstawkę.

Do podniesienia jej wypadało się schylić, a rozmiary szafy zegarowej nie dozwalały czynić najmniejszego poruszenia. Jak to zgiąć kolana, gdy się jest zamkniętym w tym długim wązkim futerale, obezwładnającym członki, jak trumna.

Jeden tylko pozostawał mu środek: krzyczeć z całych sił, chwycił się zaraz tego środka, nie zważając, że mógł tem obudzić czujność zbója, który prawdopodobnie był uzbrojony a gdyby powrócił, toby mu karku nadkręcił.

Lecz dzwięk głosu ludzkiego sięga niedaleko, zwłaszcza gdy go tłumią obicia, przepierzenie i mury. Okno w salonie było wprawdzie otwarte, ale ten salon oddzielał od podwórza gabinet, w głębi którego szef policji znajdował się uwięziony, a podwórze z kolei dzieliło salon od ulicy, gdzie Piedouch„ i Pigache stali na straży.

Jeśli świtawkę porównamy do dalekonośnego karabinu, to gardło ludzkie na mocy tego samego porównania, porównać możemy do pistoletu kieszonkowego.

Daremnie szef policji wołał, wrzeszczał póki mu tchu w piersiach starczyło; nikt się nie odezwał i musiał uznać wreszcie bezskuteczność czynionych wysiłków. Przekonał się niebawem, że człowiek, który tak niegodnie z nim się obszedł, nie zamierzał pozbawić go życia; szukał tylko w ucieczce ratunku. Ów bowiem zagadkowy nieznajomy, składający o północy wizyty w domu, gdzie poprzedniego dnia spełnione były dwa zabójstwa, ów podejrzany włóczęga, nietylko nie starał się zgładzić ze świata tego, który go tu zeszedł niespodzianie, ale znajwiększym pośpiechem opuszczał progi pawilonu. Szef policji słyszał, jak zamykano drzwi wchodowe. Potem nastała cisza.

— Nie ma zamiaru dokończyć rozpoczętego dzieła — mówił sobie w duchu biedny więzień — pozostawia nam dwa trupy dla rozwikłania sprawy, a teraz kiedy może przypuszczał, że po nitce będziemy dochodzili do kłębka, noga jego pewno już tu więcej nie postanie.., Szczęściem niedaleko powędruje; moi policjanci stoją opodal! zanim dojdzie do końca ulicy Lhomond, złowią go i spętają.

Uspokojony tą nadzieją polegającą, na sprycie swoich podwładnych, szef policji czekał cierpliwie, aż mu kto przyjdzie z pomocą. Nie mógł się jednak nikogo doczekać. Upłynęło dziesięć minut, kwadrans, pół godziny, a żaden z jego policyantów nie dawał znaku życia. W końcu więzień musiał uznać jako fakt niewątpliwy, że morderca zdołał oszukać czujność straż i że teraz pogoń za nim byłaby bezowocną.

Uważamy za zbyteczne opis przykrych wrażeń, jakich doznawał zawiedziony w nadziejach szef policyjny. Czegoś podobnego doświadczył zapewne Napoleon, gdy pod Waterloo ujrzał kolumny pruskie Blüchera zamiast oczekiwanego z posiłkami Grouchy.

Myśliwy złapał się we własne sidła. Spodziewał się, że w zastawione żelaza wpadnie winowajca, a żelaza pochwyciły jego samego.

Choćby człowiek rządził się chłodną logiką, choćby na rzemiośle swojem zjadł zęby, zawsze w wyobraźni przecenia obmyślone przez siebie fortele i gorzko odczuwa ich niepowodzenie.

— Ojciec Lecoq nie byłby dał się tak wywieść w pole — myślał ze smutkiem zawiedziony szef policyi.

Cierpienia upokorzonej miłości własnej podwajał żal z utraconej sposobności przysłużenia się ważnej sprawie społecznej.

Zbrodniarz był wolnym, mógł w dalszym ciągu zabijać mężczyzn, sztyletować kobiety, a już mieli w ręku tego niebezpiecznego mordercę, tylko brak przezorności, jeden krok fałszywy wszystko zniweczył, pozbawił korzystnych środków, doradzanych przez mądrego starca z ulicy Conti.

— Otóż to, gdy się za jednym zamachem chce posiąść za wiele — wzdychał uwięziony szef policyi. — Jeślibym był na tego łotra zwykłą tylko zastawił pułapkę, moi ludzie mogli go pochwycić w chwili, gdy przyszedł dzwonić do fórty. Gdybym nie był nabijał sobie głowy tem, że go przyłapię na gorącym uczynku, gdybym był zagwizdał wówczas, gdy on podniósł firankę, nie zaś czekał, aż się zabierze do przenoszenia trupa, bylibyśmy go z łatwością ujęli, a ja potrafiłbym go zmusić do wyznania prawdy. Ten z pewnością nie jest niemową, skoro swoją wspólniczkę zbrodni przywoływał w dwóch językach.

Może zdołamy bodaj odszukać tę wspólniczkę — pocieszał się więzień. Z tem wszystkiem niech mnie djabli porwą, jeśli wiem, o której godzinie wyjdę z tego pudła. Głupcy, gotowi czekać do rana, żeby mnie z posterunku zluzować... a podczas, gdy ja się tu wściekam ze złości, zbrodniarz uchodzi sobie spokojnie! W dodatku marznę, jak pies, i kurcze mnie łapią we wszystkich członkach.

Rzeczywiście, położenie nie było przyjemne.

Męczennik porządku społecznego ma ściśnięte czoło w owym futerale drewnianym, jak w kleszczach, a plecy potłuczone ciężkiem, ogromnem, mosiężnem wahadłem. Nogi jego uginały się ze zmęczenia; mróz dochodził do 6^0 niżej, zera; biedny człowiek zziębły był do szpiku kości i zaledwie mógł oddychać przez wązki otwór, wycięty na szczęście na wysokości jego ust.

Przewidywał też słusznie, że męczarnie jego skończą się wraz z tą długą styczniową nocą. Szarawy blask poranny zaglądał już do okien salonu, gdy głos jakiś zaczął przyzywać szefa po nazwisku.

Łatwo się domyślić, jak skwapliwie więzień zawoła w odpowiedzi:

— Do mnie, tu do mnie!

Wierny Piédouche wpadł zaraz do buduaru. Zdumienie policyanta na widok swego szefa w szafce zegarowej, gniew uwięzionego, wyrzuty, tłómaczenia, krzyżujące się pytania i odpowiedzi, wszystko to razem tworzyło rodzaj komedyi, urozmaiconej jaskrawemi *qui pro quo*.

Pierwsze słowa tej dorywkowej rormowy zamienione były przez otwór w szafce zegarowej, co czyniło położenie tem śmieszniejszem.

Na szczęście Piédouche miał zawsze przy sobie arsenał przenośny: obcęgi, dłótka, wytrychy i inne narzędzia, potrzebne przy chwytaniu barykadujących się przed policyą złoczyńców. Spiesznie wyważył drzwi więzienia, w którem jego naczelnik w tak nieprzyjemny sposób spędził długie godziny, dopomógł mu wyjść z kryjówki, podając fotel na odpoczynek, a wódkę z flaszką na rozgrzanie. Piédouche bowiem, jako

człowiek przezozny, miał zwyczaj, udając się na wyprawę, zabierać wódkę ze sobą.

Naczelnik jego nie przyjął jednak ani fotelu ani flaszki.

— Spodziewam się przynajmniej, żeś go aresztował? — rzekł szorstko.

— Kogo? — odparł policyant zdumiony.

— Tego człowieka... który tu przyszedł o północy, a wyjść musiał w kwadrans później.

— Z przeproszeniem pana pryncypała, widziałem tylko urzędnika prefektury, którego prefekt przysłał do pana.

— Czyś oszalał, czy sobie ze mnie żartujesz?

— Ani jedno, ani drugie, panie naczelniku. Z uderzeniem 12-ej ujrzałem zbliżającego się od strony ulicy Lhomond człowieka bardzo porządnie ubranego: palto wigoniowe, cachenez białe, kapelusz świecący, nowy, rękawiczki popielate duńskie. Zatrzymał się przed furtą, drzwi otworzył i wszedł do domu, jakby do swego mieszkania.

— I nie starałeś się go pochwycić?

— Panie naczelniku, słuchałem rozkazu. Gdy mnie pan stawiał na posterunku, kazałeś puszczać każdego, ktokolwiekby się zjawił i nie ruszać się z miejsca, póki nie usłyszę świstawki.

— Dobrze, a gdy ten człowiek wyszedł? — dowiadywał się szef drżącym z gniewu głosem.

— Nie dał mi pan naczelnik instrukcyi co do wychodzących, a ponieważ nie słyszałem świstawki, nie wiedziałem co robić. Na własną jednak odpowiedzialność zatrzymałem wymykającego się z za kraty jegomościa. W pierwszej chwili był jakby zdziwiony, ale potem zaraz odpowiedział: „Swój:“.

— I przypuszczałeś, że to miało znaczyć z policyi.

— Sądziłem tak zrazu i dlatego żądałem pokazania służbowego biletu.

— On ci go pokazał?

— Tak, panie naczelniku; był zupełnie w porządku. Dodał, że przysłał go pan prefekt z ważnem do pana doniesieniem.

— Głupia bestyo! — zawołał szef, nie mogąc dłużej nad sobą zapanować. — Powinieneś był pamiętać, że w prefekturze nie wiedziano jeszcze o naszej bytności tutaj i że zbrodnia spełnioną była przy ulicy Arbaléte.

— To też dziwiło mnie to trochę, że pan prefekt mógł o wszystkiem wiedzieć, ale tłómaczyłem sobie, że zapewne Pigache, odprowadzając niemowę opowiedział wszystko dyrektowi więzienia i że dyrektor...

— Cicho utrapieńcze! Czy wiesz coś zrobił? Pozwoliłeś wymknąć się mordercy.

— Mordercy! — zawołał Piédouche, odskakując — ten wysoki, w tym eleganckim palcie, to był morderca?

Tak jest, to był on i uciekł nam dzięki tobie, gdy potrzebowałeś tylko rękę wyciągnąć, by go pochwycić. Z twojej winy przegrywamy najświetniejszą sprawę, jaka się nadarzyła, odkąd pracuję w moim zawodzie. Obrachujemy się, mój chłopcze i pakuj swoje tłomoki. Nie potrzebujemy policyantów, którzy pozwalają się pierwszemu lepszemu w pole wywodzić... Boć przecie tamten hultaj nie jest sztukmistrzem, ani czarodziejem, a ciebie, który służysz w policyi od lat dwudziestu na dudka wystrychnął... Wstyd doprawdy!

Policyant słuchał ostrego napomnienia swego przełożonego z twarzą zasępioną; po pierwszym jednak wybuchu oprzytomniał trochę i odezwał się wzruszony.

— Gdybyś chociaż był zapamiętał numer tego biletu! Ale o tem pewno nie myślałeś — mówił z goryczą szef, który po doznanym zawodzie nie mógł jeszcze odzyskać równowagi umysłu.

— Nie, nie myślałem o tem, panie naczelniku, nie zwróciłem nawet uwagi na bilet, przypominam sobie teraz, był on dawnego wzoru... To zapewne jaki stary bilet, znaleziony lub kupiony przez tego łajdaka. Popisałem się, jak niewymusztrowany rekrut... Cóż robić! Są dni fatalne, w których nic się człowiekowi nie udaje... Zresztą nie mógłbym się już między swymi pokazać... Koledzy dowiedzą się niebawem o wszystkiem i nie będę mógł im spojrzeć w oczy... Niech mnie wypędzą... Zasłużyłem na to... Pójdę za stróża do zamiatania ulic, albo na gałganiarza, żeby na chleb zarobić dla moich małych... Och! nie mówię to dlatego, iżby litość w panu wzbudzić — dodał, dostrzegłszy współczucie na twarzy szefa. — Wiem, że mi się to słusznie należy, i nie skarżę się... Nie zapomnę, że pan byłeś dobry dla mnie, ale nie zapomnę również o tamtym łotrze, który stał się przyczyną mego nieszczęścia... Będę póty go szukał, póki go nie znajdę, a muszę znaleść hultaja... Nie będę spokojnym, aż go ujrzę wstępującego na plac kaźni la Roquette.

— Sądzisz, że mógłbyś go poznać?

— Poznałbym go po oczach; świeciły w ciemności, jak kocie, a brwi zrastają mu się nad nosem. Nie mówię o chustce na szyi i palcie, bo pewno nie włoży ich już na siebie. Tak mi się jednak krój i kolor jego ubrania wraził w pamięć, żebym je odróżnił zaraz, choćby u tandeciarzy w Temple. Panie naczelniku, jakiem Piédouche, tak odnajdę nicponia, który mnie pozbawił chleba.

— Słuchaj — odezwał się szef po chwili milczenia — przytrafia ci się to po raz pierwszy. Nie daje się dymisyi dobremu żołnierzowi za jego uchybienie w służbie. Nie chcę przytem, aby twoje dzieci cierpiały nędzę. Zatrzymam cię pod dwoma warunkami: Pierwszy, że o tem, co zaszło, nie piśniesz ani słowa twoim kolegom.

— Może pan być spokojny: nie mam ochoty uchodzić za głupca.

— Drugi warunek, że zrobisz wszystko, co będziesz mógł, aby błąd naprawić. Muszę mieć tego człowieka.

— Będziesz go miał, panie naczelniku, a jeśli kiedykolwiek zechcesz, by kto skoczył dla ciebie w ogień, skiń tylko na mnie.

— Bez niepotrzebnej gadaniny. Do rzeczy. Nie udała nam się tej nocy robota; postarajmy się dziś rano być zręczniejszymi. Czy agenci są na swoich stanowiskach?

— Odkąd ich rozstawiłem, nie ruszyli się z miejsca.

— Dobrze; każ im czatować dalej. Ty pójdziesz do cyrkułu, powiesz komisarzowi, że go czekam tutaj na obdukcyę trupa.

— Jakto, panie naczelniku, czyż...

— Człowiek zabity leży w sali jadalnej — oświadczył szef policyi takim tonem, jakby mówił: Stoi wazon z porcelany chińskiej na kominku w salonie.

— Oj do licha — mruczał pod nosem Piédouche — ten o brwiach zrosłych jedzie ostro!

— Z cyrkułu pójdziesz na ulicę Godot de Mauroy, pod numer...

— Wiadomy mi, panie naczelniku, do p. Tolbiaca.

— Nie takiś głupi, jakby można sądzić po twojem dzisiejszem zachowaniu się. Tak, do Tolbiaca. Powiesz mu, żeby przyszedł do mnie natychmiast. Rozumiesz, powiesz tylko to, ani słowa więcej... i przyprowadzisz go.

— Rozumiem, panie naczelniku. Czy to p. Tolbiac ma prowadzić śledztwo... pod pana kierunkiem?

— Co ci do tego?

— Przepraszam pana, ale radbym wiedzieć, pod kim mam pracować... Bo to wiadomo: każdy przełożony ma swoją metodę... Ja zawsze staram się do tego stosować... Tak naprzykład, ile razy brał mnie pod komendę pan Lecoq...

— Pan Lecoq nie chce już się tem zajmować. Będziesz pod komendą Tolbiaca.

— Spełnię wiernie jego rozkazy; może pan być pewny. Szkoda jednak, że pan Lecoq nie chce ręki do tego przyłożyć; trudno znaleść równego jemu.

— Tolbiac mu dorówna, gdy nabędzie większej praktyki we Francyi. Dosyć już czczej gadaniny. Dla pospiechu weź dorożkę, a nie zrób tam nowego jakiego głupstwa.

Piédouche, uradowany z odzyskanych względów swego naczelnika, pragnąc gorąco naprawić swój błąd, skłonił się pryncypałowi i wyszedł z pokoju.

— Ostrożnie tam ze śladami na śniegu — wołał za nim szef policji.

Potem zbliżył się do otwartego okna i z zadowoleniem zauważył, że Piédouche obchodził krąg duży, aby nie zatrzeć na śniegu śladów stóp, odciśniętych przez zbrodniarza i jego niemowę. Obok tamtych, inne świeższe ślady były widoczne na śniegu. Niewątpliwie wycisnęły je stopy nocnego gościa, który zamknął szefa policji w szafce zegarowej.

Był to dowód oczywisty, że ów gość zachodził tutaj w wigilję i szef zamierzał na to zwrócić uwagę sędziów.

Lecz teraz myślał tylko o prowadzeniu śledztwa zwykłym trybem: o obdukcji sądowej, sprowdzeniu osobistości denata i całej procedurze, stosowanej w takich razach.

Powody, skłaniające go dawniej do opóźnienia tej oficialnej procedury, nie istniały już, skoro zbrodniarz wiedział, że dom strzeżony jest przez policję. Nie można było przypuszczać, by chciał po raz drugi i dobrowolnie wpaść w pułapkę.

Szef policji w oczekiwaniu na przybycie komisarza, nie mając nic lepszego do roboty, postanowił zwiedzić pokoje na pierwszem piętrze, w których jeszcze nie był. Poszedł więc na górę. Wszystkie klucze tkwiły także w zamkach.

Na prawo nad salonem znajdował się pokój sypialny i gabinet do ubierania. Tu także uderzała dziwna mieszanina przedmiotów zbytkownych i mebli pospolitych. Łóżko nieposłane, puste komody i szafy, brak przedmiotów tualetowych w gabinecie świadczył, że ofiara wybierała się w daleką podróż i nie zamierzała już tutaj powrócić.

Szef policji zastanawiał się nad tem właśnie, gdy usłyszał turkot dorożki, zajeżdżającej przed fórtę. Wysiadł z niej komisarz cyrkułowy, uprzedzony o wypadku przez Piédouche'a.

Naczelnik pośpieszył na jego spotkanie. Uwiadomił go w kilku słowach o całem zajściu, a pragnąc co prędzej załatwić się z tem i powrócić do prefektury, poprowadził komisarza wprost do sali jadalnej, gdzie leżało ciało zamordowanego człowieka.

— To on! — zawołał komisarz.

— Znasz go pan? — pytał szef policji.

— Tak jest. To jest kupiec, którego rodzina poszukuje od onegdaj; syn jego właśnie był u mnie i spisywałem z niego protokół, gdy wpadł Piédouche, wzywając mnie bezzwłocznie do pana. Jadąc tu nie spodziewałem się, że przy jednym ogniu upiekę dwie pieczenie.

— A ja nie miałem nadziei, że tożsamość ofiary tak prędko będzie stwierdzoną. Czy jesteś pan zupełnie, pewny, że nieboszczyk jest owym kupcem, poszukiwanym przez rodzinę?

— Najpewniejszy. Spotkałem tego człowieka ze dwadzieścia razy w ogrodzie Luksemburskim i w Botanicznym. Była to osobistość bardzo poważana w swojej dzielnicy, spędził w niej całe życie, a firma jego ojca już tam poprzednio była znaną. Miał hurtowny skład płótna.

— Był bogaty?

— Bardzo bogaty. Majątek od kilku pokoleń przechodził z ojca na syna.

— Jak się nazywał?

— Pan Lheureuse; Piotr Lheureuse, Berard et comp., taka jest firma domu handlowego.

— Zatem miał wspólnika?

— Och? ten wspolnik nie mieszał się do interesów... Zdaje się nawet, że nie mieszkał w Paryżu.

— Czy ten pan miał żonę? Jak go komisarz nazwałeś? Ah! Lheureuse. Są nazwiska źle się nadające do osób, które je noszą.

— Miał żonę i dwoje dzieci. Starszy syn obudził mnie o 7-mej rano, żeby mi zameldować o zniknięciu ojca. Obiecując mu czynić poszukiwania, nie domyślałem się, że tak prędko dowie się o ich rezultacie.

— Pochwyciliśmy jednak cienką niteczkę, może nam się urwać w ręku, ale może też szczęśliwie doprowadzić do celu. Zobaczymy, jak sobie Tolbiac będzie radził.

— Tolbiac? Detektyw, który przybył do nas z Anglii?

— Właśnie czekam na niego; chcę w jego ręce złożyć sprawę, właściwie śledztwo uzupełniające, bo ze swojej strony czynić musimy poszukiwania... Sędzia śledczy już uprzedzony.

— Dziwny to człowiek ten Tolbiac. Ma właściwe sobie kruczki i wyjątkowo przenikliwe wejrzenie.

— W innej szkole uczył się rzemiosła, ale zna się na niem. Wolałbym wprawdzie mieć do czynienia z ojcem Lecoq, na nieszczęście ten już nie chce do niczego ręki przyłożyć. Zrobił majątek i żeni syna. Zanim jednak zastępca jego się zjawi, zacznijmy własnym sprytem rozwiązywać początek zagadki.

— Ten początek wydaje mi się bardzo zagmatwany.

— Możemy jednak spróbować. Rozwiązywaliśmy już trudniejsze zadania. Dowodzimy tedy, że denat jest panem Lheureuse, zamożnym kupcem, żonatym ojcem rodziny, wyborcą do parlamentu, wybieralnym i t. d. Czy uchodził za człowieka porządnie się prowadzącego?

— W interesach był bardzo akuratny, trochę nawet twardy, jak dowodzą jego klienci. Mówią jednak, że po za swemi zajęciami handlowemi, lubił używać rozkoszy życia; uczęszczał do teatrów, nie pogardzał stosunkami z półświeciem...

— Prawdopodobnie nie pogardzał również półświeciem z ulicy Arbalète. To przypuszczenie nasuwało mi się w myśli. Przyszedł tu pewnie odgrywać rolę Don Jouana i znalazł to, czego się nie spodziewał. Ale wnosić można, że znani są panu także lokatorzy pawilonu?

— Bardzo mało. Dowiedziałem się tylko przypadkiem, że jakaś Angielka osiadła tutaj przeszłego lata.

— Angielka, to potwierdza moje domysły. Miała pannę służącą, wszak prawda?

Tak jest; dowiedziałem się tego w następujący sposób: Sabaudczyk, który ma skład węgli obok, przyszedł mi zameldować, że jednego pięknego ranka, dom ten zamknięty od lat trzech, zajęły bez pozwolenia właściciela, jakieś dwie kobiety. Nie przywięzywałem do tej wieści wielkiego znaczenia; mimo to zarządziłem śledztwo i doszedłem, że składnik posługiwał się bezprawnie podwórzem dla gromadzenia zapasów drzewa i dlatego nie dogadzało mu wynajęcie pawilonu. To było pobudką jego oskarżenia. Przypominam sobie, że wtedy ta pani przyszła do mego biura. Wcale ładna kobietka.

— Czy mógłbyś ją pan poznać?

— Tak sądzę.

— Udamy się zaraz do morgi.

— Do morgi?

— Dama, o której mowa, znaleziona była w skrzyni, z sercem przebitem nożem.

— To sprawa z ulicy Champ de l'Alouette?

— Nie inaczej. Sam pan widzisz, że objaśnienia, jakich możesz udzielić, mają wielką wagę.

— Zapewne, tylko, że tych objaśnień mogę dać bardzo niewiele. Ta pani pokazała mi trzyletni kontrakt dzierżawny na lokal, podpisany przez właściciela. Kontrakt był zupełnie legalny; wskutek tego nakazałem składnikowi, aby usunął z podwórza drzewo. Na tem skończyła się sprawa.

— Czy ta Angielka prowadziła się przyzwoicie?

— W każdym razie nikt nie miał prawa na to się użalać. Gdyby dała pozory jakiego skandalu, byłbym o tem uwiadomiony, gdyż księżniczki półświecia rzadkiem bywają zjawiskiem w dzielnicy Val-de-Grâce. Zresztą zawzięty na nią składnik byłby ją zadenuncyował pierwszy.

— Ten człowiek może być pożytecznym przy śledztwie. Wczoraj już rozmawiałem z jego żoną. Polecę ich oboje Tolbiacowi. Czy nie pamiętasz pan nazwiska właściciela domu?

— Nie pamiętam; przypominam sobie tylko, że mieszkał w Anglii i że kontrakt podpisany był w Londynie.

— Musi mieć przecież swego pełnomocnika w Paryżu; dowiemy się tego od poborcy, który odbierał z domu podatki. A teraz zsumujemy wszystko; cudzoziemka ładna i młoda nie osiedla się bez powodu na ulicy l'Arbalète. Gdzie mieszkał p. Lheureuse?

— Na placu Panteonu. Ztąd kilka kroków zaledwie. Łatwo to wytłómaczyć. Protektor lokuje protegowaną w swojem sąsiedztwie, na ulicy, gdzie szanujący się kupiec może odwiedzać, bez narażenia się na złe języki, lokatorkę, okazale wyglądającego pawilonu.

— Wszystko to jest dosyć prawdopodobne... Tylko... w jakim celu ta kobieta miałaby go życia pozbawiać? Nie zabija się kury, znoszącej złote jaja.

— W każdym razie nie w celu ograbienia go. Ma jeszcze na sobie złoty zegarek z łańcuchem.

— A nawet i pugilares; widzę jego róg, wystający z kieszeni tużurka.

— Jeśli znajdą się w nim papiery wartościowe, będziemy mieli zupełną powność w tym względzie. Zresztą wytworzyłem sobie już sąd o pobudkach tych dwóch zbrodni i o sposobie, jakim zostały dokonane. Radbym tylko wiedzieć, jak się na to zapatrywać będzia Tolbiac. On ma pomysły tak oryginalne i tak odrębną metodę postępowania. Musimy na niego poczekać.

—Nie będziemy długo czekali — odparł komisarz, zbliżając się do okna. Dorożka zatrzymała się przed fórtą i wysiadł z niej Piédouche.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Czerwone i białe.

Ze starego manuskryptu.

Gdyśmy w kraju żyć zaczęli
I gdy Polska ze snu wstała,
Dwa kolory my tam mieli,
W które praca nas ubrała.

Kolor *biały i czerwony*, —
Jak tam w kraju nas nazwano. —
A tak każdy naznaczony
Wedle pojęć, nosił miano.

Myśmy siebie tak nazwali,
A niezgodni z sobą byli, —
Choć na jednem polu stali
I jednakiem życiem żyli.

Niezrozumiał brat tam brata
I z przekąsem w kolor stroił, —
A niewiedział, że Pan świata
W te kolory Polskę zbroił.

Myśmy *biali i czerwoni!*
Ale dzieci jednej wiary,
Dzieci *Orła i Pogoni*
I jednakie nam sztandary!

My się niby dzielić chcieli,
A my idziem w zgodnej parze,
Bo my jedno serce mieli —
Jeden kolor — na sztandarze!

A że naród całość tworzy
I że życie w kraju całe
To w harmonią tu się złoży —
Co *czerwone i co białe!*

Nasze błędy wspólne były
Jak i wspólne serca bicia,
Tylko waśnie nas kaziły,
Ale nigdy — tętno życia!

A w tem życiu, w wspólnej pracy,
Jeśli całość stworzyć mamy
Niemożemy być jednacy —
Choć jednako kraj kochamy.

Bez *„czerwonych“* zginą *„biali,“*
A czerwoni znów bez bieli, —
Lecz w harmonii będą stali,
Byle białe serca mieli, —

Ale w żyłach krew czerwoną!..
To się polska barwa złoży
Jak w sztandarze zestawioną,
I jak przyszłość ją utworzy! *E.*

Ostatnia rozmowa.

Lat temu jeszcze 30 Australja mając ludne miasta nad wybrzeżem morza położone, w głębi swego obszernego lądu przedstawiała widok bądź to puszczy pokrytej gęstemi lasami i zaroślami, bądź też ogromnych, okiem niezmierzonych, pustych stepów. Puszcze te były naturalnem schronieniem dzikich, europejskiej cywilizacyi mało przystępnych ludów. Pierwotni mieszkańcy Australii, to typ jednego z najbrzydszych plemion ludzkich — o ciemnej barwie skóry — i szkaradnych rysach twarzy. Zetknięcie się z białymi ludźmi, rasy europejskiej, nie bardzo korzystny wpływ tutaj wywierało.' Leniwi z natury, nieprzyzwyczajeni do pracy, dzicy Australscy z trudnością tylko dawają się nagiąć pod jarzmo uporządkowanych stosunków. Strach i obawa przed przewagą białych ludzi, utrzymują ich w karbach względnego tylko posłuszeństwa, lecz nie przyczyniają się bynajmniej do wykorzenienia wrodzonej skłonności do rabunku i łupieztwa.

Obeznani już dostatecznie z użyciem broni palnej, a co gorzej z gorącemi napojami, pracować nie chcą, pędząc życie koczownicze i zajmując się wyłącznie myśliwstwem. Wszelkie usiłowania zaprowadzenia pewnego porządku w ich rozproszonych osadach, rozprzestrzenienia nauki i oświaty pomiędzy nimi, rozbijają się o ich bierny opór, niedający się niczem przełamać. Stojąc na najniższym nieledwie stopniu kultury i nie mogąc się oprzeć coraz więcej rosnącemu naciskowi rozmnażającej się rasy białej, cofają się w niedostępną puszczę i stepy; — lecz powoli i tam cywilizacya dociera — a nie chcąc się jej poddać, dzicy mieszkańcy giną liczebnie coraz więcej, tak iż może za lat kilkadziesiąt już ani jednego z pierwotnych mieszkańców Australii nie będzie.

Z postępem cywilizacyi, wymagania pod względem szybkiego, wzajemnego porozumiewania się oddalonych od siebie o setki mil miast i większych osad, stało nieoledwie na pierwszym planie. To też był czas, gdzie w Australii zaprowadzanie telegrafów do najważniejszych zadań miejscowej inżynieryi należało.

Było to zadanie nie do spełnienia, zważywszy na rozliczne trudności, jakie z powodu rozległych puszcz, a więcej jeszcze skutkiem oporu chytrych i nieprzyjaźnie usposobionych szczepów miejscowych miano do zwalczania. Ażeby przeprowadzić telegraficzną linią, trzeba było zabierać z sobą nietylko wszelkie potrzebne materyały, lecz także i znaczne zapasy żywności, a głównie odpowiednią siłę zbrojną, zdolną obronić od napaści pracujących ludzi.

Ponieważ wyprawy takie w znaczniejszej liczbie byłyby wprost niemożliwe, urządzano zatem w pewnych odległościach telegraficzne stacye, tam zostawiano urzędnika do dozorowania linii — dając mu zawsze kilku ludzi do pomocy i obrony — następnie posuwano się coraz dalej. Z głównej zaś stacyi od czasu do czasu wysyłano nowy oddział ludzi z potrzebnemi zapasami, ażeby ubytek powstały przez pozostawianie na stacyach uzupełniać.

W roku 187.... jedną z takich wypraw celem przeprowadzenia telegraficznej linii, powierzono inżynierowi Thompsonowi, człowiekowi odważnemu i obznajmionemu dostatecznie z życiem na puszczy, ze zwyczajami i charakterem dzikiej krajowej ludności. Thompson wiedział z doświadczenia, że dzikich więcej aniżeli sztucer w ręku białego człowieka, odstrasza zabobonna obawa przed mniemanemi czarami. To też zagłębiwszy się w puszczę, gdy z toporem w ręku trzeba było torować sobie drogę przez gąszcze i zarośla, skoro zobaczył skradających się czarnych, nie strzelał do nich, lecz starając się zwabić ich jak najbliżej, przy pomocy gotowych zawsze elektrycznych maszyn, niespodzianie wywoływał pomiędzy nimi przerażenie, wzbudzając wiarę, że nadprzyrodzoną pomoc ma każdej chwili na swe zawołanie. Z początku dzicy nie przeszkadzali wcale w przeprowadzaniu prac około zakładania drutów telegraficznych, przypatrując się z daleka. Z czasem oswoili się jednakże i zaczęli tak blizko podchodzić, iż natręctwem swojem uprzykrzać się zaczynali, temwięcej, że bez drobnych kradzieży się nie obeszło. Zamiast groźnie wystąpić od razu, ustawił ich przeszło czterdziestu w jednym rzędzie, namawiając ażeby jeden drugiego za szyję objął, lub ręce sobie wzajemnie podali. Gdy z podniecongą ciekawością, zaleconą im postawę przyjęli, kazał podać najbliższemu z brzegu naczynie napełnione wodą, w którą niewidocznie koniec drutu gotowej już elektrycznej bateryi był zanurzony. Pomocnik na drugim końcu ustawionego szeregu dzikich, trzymał drugie naczynie z wodą, w którą również najpierwszy rękę zanurzył. Thompson przez chwilę robił jakieś czarodziejskie znaki — czarni z natężoną uwagą wlepili w niego oczy — gdy naraz na dany znak pomocnik i drugie naczynie połączył z drutem bateryi. W tejże chwili prąd elektryczny wstrząsnął całym szeregiem. Baterya silnie naładowana elektrycznością podziałała okropnie na nic nie przeczuwających dzikich, którym się zdawało w chwili uderzenia, że im jakaś niewidzialna siła kości łamie. Z okropnym wyciem w tej chwili zaczęli uciekać co im sił starczyło — i znowu czas pewien upłynął, zanim odważyli się zbliżyć do białych ludzi. Celem odstraszania ich w nocy, Thompson zapalał nagle kilka lamp elektrycznych, oślepiając ich blaskiem to znowu nagle je gasił, pogrążając ich w zupełnej ciemności.

Podobne sztuczki obrachowane na zabobonną wrażliwość krajowców, były najskuteczniejszym środkiem trzymania ich w przyzwoitej odległości. Z czasem jednakże chęć rabunku przemagać zaczęła, i Thompson mając tylko jeszcze dwunastu ludzi przy sobie, z obawą patrzał w przyszłość, gdyż ufni w swą coraz więcej zwiększającą się liczbę, rozzuchwaleni dzicy coraz groźniejszą zaczęli przybierać postawę. W dzień trzymali się jeszcze w pewnem oddaleniu, lecz dzikie wycie rozlegające się w ciszy nocnej, nie zapowiadało nic dobrego;

aż wreszcie dnia pewnego nad ranem wykonali napad, który jedynie z bronią w ręku trzeba było odeprzeć. Trzech ludzi padło od pocisków nieprzyjacielskich. Thompsonowi zatem tylko dziewięciu ludzi jeszcze pozostało.

Przyspieszał zatem pracę o ile możności, ażeby się z niebezpiecznego towarzystwa jak najprędzej wydobyć. Od czasu do czasu ustawiał telegraficzny aparat, dając znać do centralnej stacyi o groźnem położeniu i prosząc o jak najspieszniejszą pomoc. Otrzymał odpowiedź, iż kilkunastu ludzi zbrojnych konno już wyjechało. Lecz przestrzeń mil stu kilkudziesięciu nie przebywa się w kilku godzinach. Thompson z pościnanego drzewa kazał porobić zasieki i palisady, mogące ludzi jego jako tako chronić od kul i rzucanych dzid przez krajowców.

Dzień cały znowu upłynął spokojnie. Lecz już nad ranem kilka dzid rzuconych, przelatujących nad głowami znękanych obawą i niewywczasem towarzyszy Thompsona — a zaraz potem straszliwe wycie oznajmiło, że chwila rozpaczliwej walki nadeszła.

Dzicy tym razem napad z pewnym planem i ostrożnością rozpoczęli. Podczas gdy bowiem dalej stojący, zaopatrzeni w broń palną i łuki, obsypywali pociskami każdego ukazującego się białego, — reszta czołgając się po ziemi, starała się podejść jak najbliżej, by następnie swą liczbą w ręcznej walce pokonać dzielnie się broniących. Wynik nierównej tej walki nie mógł być wątpliwym.

Do zagrody wdarło się wreszcie kilkudziesięciu dzikich i w kilka chwil potem, pomimo zaciętej obrony, drobna liczba białych drgała w ostatnich przedśmiertelnych podrygach. Dzicy unieśli natychmiast wszelkie zapasy żywności i broń wydartą z kostniejących dłoni, pozostawiając nietkniętemi wszelkie elektryczne przyrządy po przekonaniu, że one są siedliskiem djabelskiej potęgi.

W dwie godziny po odejściu krajowców, Thompson ciężko ranny, przyszedł do siebie z omdlenia, podniósł się i oczom jego przedstawił się straszny widok pomordowanych i okropnie pokaleczonych towarzyszy, z których już ani jeden znaku życia nie dawał.

Rozpatrując się, ujrzał Thompson, że telegraficzny przyrząd pozostał nietknięty. Z największą trudnością doczołgał się do tegoż i drżącą ręką dotknął sygnałowego guzika. Pragnienie paliło go strasznie, liczne rany, z których razem z krwią powoli sączącą i życie uciekało, bolały go niewymownie, a tylko siłą ducha trzymał jeszcze ulatującą przytomność na wodzy.

Po kilku sekundach elektryczny dzwonek odezwał się, na znak, że w centralnej stacyi czekają na przesłanie depeszy. I rozpoczęła się tu ostatnia rozmowa umierającego człowieka, będącego jedną z licznych ofiar wszystko łamiącej, lecz i naprzód postępującej cywilizacyi.

— Napad dzikich — wszyscy polegli — umieram — zawołać żonę i dzieci — Thompson.

— Natychmiast — więcej ufności — pomoc wysłana.

— Zapóźno — żona i dzieci.

Upłynął kwadrans jeden i drugi — Thompsona mroczyła coraz więcej wzmagająca się słabość — siłą woli podtrzymywał niknące siły, oczekując na przybycie rodziny do telegraficznego bióra — oddalonego o mil sto kilkadziesiąt.

Wreszcie odezwał się znowu dzwonek. Thompson również dał znak, że czuwa przy aparacie jeszcze. Wiedział, że tam daleko w centralnej stacyi, stanął przy aparacie syn jego najstarszy, który jako elektrotechnik, temu samemu zawodowi co on sam się poświęcił.

Przyrząd telegraficzny został w ruch puszczony.

— Alfred?

— Ja ojcze — matka i rodzeństwo obecni.

Tik-tak, tak, tik — tik tak, tik — cicho szeptał telegraf, a jednak tak strasznie wymowny dla przerażonej rodziny.

— Ciężko poraniony umieram — kochajcie się!

— Ojcze więcej nadziei — uratujemy cię.

— Umiejcie być ludźmi - to ostatnie moje słowo — żyjcie uczciwie — pamiętajcie o mnie — życie uchodzi — słabnę — uklęknijcie!

Na ten rozkaz umierającego ojca cała rodzina padła na kolana przy stoliku z przyrządem — z wyjątkiem Alfreda trzymającego rączkę od telegrafu — a któremu spływające łzy wzrok zupełnie ćmiły.

Długa chwila przeszła — widocznie umierający siły zbierał, ażeby dalej ostatnie słowa módz przesłać.

Wreszcie przyrząd znowu przemówił — lecz powoli — z długiemi przerwami, świadczącemi, że to już ostatni wysiłek ze śmiercią walczącego człowieka.

— Błogosławię was na drogę życia — kochajcie się — ciemno — byw... zdr... błogosł... raz jes...e.

A potem milczenie. Alfred drżący z wzruszenia napróżno dzwonił i zapytywał — odpowiedzi już żadnej nie było.

Nie zatrzymując się dopadł konia i popędził świeżo przez ojca wytkniętą linią telegraficzną. Dogonił wysłany poprzednio oddział, — spieszył ile mógł, aż wreszcie trzeciego dnia przybył na miejsce strasznego, świeżo rozegranego dramatu. Tutaj znalazł tylko zczerniałe już trupy. Ojciec jego z pogodną twarzą spoczywał ujęty snem śmierci, trzymając skostniałą rękę na telegraficznym przyrządzie, przez który ostatnie błogosławieństwo rodzinie swej był przesłał.

Dr. Wacław Zaremba.

Najpiękniejszy dzień życia.

(Wspomnienie.)

Nie pomnę, było to w czerwcu lub w sierpniu, lecz wiem, że było latem. Siedzieliśmy w stołowym pokoju przy obiedzie: matka, ojciec, siostry i ja. Miałem wówczas lat może siedm.

Podczas kiedy brząkaliśmy łyżkami po talerzu i grymasząc jedli rosół, z niechęcią, jak gorzkie, tłuste lekarstwo, pociągnął ktoś w sieni za dzwonek. Zerwałem się z krzesła, ciekawy kto tam, a równocześnie chcąc z dziecinną przebiegłością korzystać z tej sposobności, aby pod jakimkolwiek pozorem umknąć od stołu i nie potrzebować kończyć jedzenia zupy, której nie lubiłem, zwłaszcza w dni gorące. Ale matka powstrzymała moje zapędy i zanim drzwi dobiegłem, musiałem wrócić na miejsce.

— Rózia jest na to, żeby drzwi otworzyć, jak kto dzwoni. Ty jedz rosół, rosół dla dzieci jest zdrowy.

I rad nie rad musiałem wypróżnić talerz, bo rodzice pilnie na to baczyli. Rózia tymczasem wyszła z kuchni do sieni, otworzyła drzwi i wyłajawszy kogoś swarliwym głosem, zamknęła je z łoskotem, poczem wróciła do swego królestwa kuchennego. Po chwili wniosła do pokoju mięso.

Spojrzeliśmy wszyscy na nią, pytając oczami. Lecz nasz sfinks kuchenny, z natury mrukliwy i małomówny, milczał jak ściana. Jak niema, nie tracąc słowa, postawiła na stole półmiski, podniosła z podłogi serwetkę, która była spadła, podwiązała ją na nowo mej najmłodszej siostrze i stanęła do pomocy za jej krzesłem, czekając skinienia mej matki.

— Mamo, mnie mało!

— Ja też nie lubię mięsa — wołaliśmy dzieci dziecinnym zwyczajem.

Ale matka znała naszą niechęć do mięsa i nie zważała na nią, ani na nasze grymasy, zwróciła się do Rózi.

— Kto dzwonił?

— Żebrak, proszę WPani. To tałatajstwo cały dzień się włóczy.

— Zamknęłaś tylko dobrze drzwi? skradnie jeszcze co z kuchni, albo palto pana z przedpokoju wyniesie.

— Ja mu zaraz przed nosem zamknęłam.

Ojciec, który właśnie list trzymał w ręku, przestał go czytać i słuchał nie opuszczając arkusza z przed oczu.

— Rózia, jaki żebrak? dziad? ma garb? a kulawy? — dopytywała się moja siostra, którą służąca straszyła często dziadami, opowiadając, że kradą dzieci.

— I ma długą brodę? rudą? — przerywała również zaniepokojona i równie trwożliwa druga siostra.

— Ma brodę, ale siwą, zupełnie siwą — uspokajała służąca nie śmiąc w obecności ojca, jak zwykle, straszyć nas dziadami, kurzemi płuckami lub skrzatami z siną głową na pajęczych nóżkach, o czem z upodobaniem, a nawet z niezaprzeczonym talentem zawodowego bajarza nieraz się rozwodziła, zwłaszcza pod wieczór.

Zdaje się, że opowiadane przez nią o zmroku historyjki o cyganach, czarownicach i błędnych ognikach, lub o lucyperze, który jak ziewnie, to mu płomień ognisty bucha..... z buzi, jej samej sprawiały dreszcze i to miłe dreszcze, a nie mając innych wrażeń, lubowała się w tem sztucznem podniecaniu swych zwiędłych nerwów.

Fantazyą zresztą miała bajeczną.

Mój wuj, lekarz, twierdził zawsze, że posiadają ją nietylko zdatni poeci, ale i kucharki i kucharze, ostatni jako wynik wiecznego stania przy ogniu i rozpalonej kotlinie. Gorączka kuchenna widocznie i na Rózię działała, podniecała jej zmysły i zapładniała jej twórczość umysłową, gdyż niewyczerpaną prawie była w opowiadaniu na temat o włóczęgach, biesach i opryszkach.

Ma długą, siwą brodę — powtarzałem mimowoli za Rózią — jak gołąb siwą — uzupełniłem odniesione wrażenie, gdyż przypomniało mi się od starszych podsłyszane porównanie, które dlatego utkwiło mi w pamięci i szczególniej mi się podobało, ponieważ bardzo lubiłem gołębie i karmiłem, gdzie się nadarzyło. Litościwa, dziecinna moja wyobraźnia, inaczej malowała mi żebraka, niż Rózia.

— Mamo, ja mu dam kawałek chleba — prosiłem.

— Pozwól mu — poparł mą prośbę ojciec i po chwili z ogromną kromką w ręku otwierałem drzwi do sieni.

Za drzwiami stał z odkrytą głową, trzęsąc się cały, pochylony, na kiju wsparty staruszek. Brodę miał naprawdę i długą i siwą, włosy także długie i zupełnie siwe, przez biodra sakwę. Żal mi się go zrobiło, bo nie znałem strachu przed żebrakami, jak moje siostry. Widok sędziwego wieku i tej o litość wołającej słabości tak do głębi przejął me dziecinne serce, że nie mogłem słowa wymówić. Nieśmiało wyciągnąłem ku niemu rękę i podałem jałmużnę.

— Mój paniczku kochany, niech ci Bóg zapłaci, niech ci stokrotnie nagrodzi twoje dobre serce, niech cię Matka Boża chroni przed nieszczęściem, abyś wyrósł na pociechę rodzicom — prawie modlącym się głosem dziękował mi żebrak.

Dzieckiem jeszcze byłem, ale zrozumiałem, że wielką musiała być jego nędza, kiedy za suchy kawałek chleba tak się wdzięcznym okazuje. Za suchy kawałek chleba! a ja z masłem i szynką nieraz jeść nie chciałem. A ów kawałek chleba był w dodatku kromką, której bezzębny starzec ugryźć nie mógł.

Przypomniała mi się babusia, kobieta również w podeszłym wieku, która zawsze tylko ośródkę z chleba wykrawała, bo skórki nie mogła ugryźć. Moje dziecinne sumienie szeptało, że podziękowanie przewyższa ofiarę, wstyd mnie było, a zarazem żal staruszka.

— Czekajcie chwilkę, zaraz wrócę — odezwałem się rumieniąc się i zostawiwszy drzwi otwarte, pobiegłem do ojca.

— Tata — rzekłem z łzami w oczach, tuląc się pieszczotliwie do kolan ojca — on nie ugryzie tej kromki, on nie ma zębów.

Mój drżący z wzruszenia głos zastanowił ojca, widziałem jak błysk radości zajaśniał mu w oczach, cieszył się moją litością, bo sam miał miękkie serce. Pogłaskał mnie po głowie, potem wyjął portmonetkę i dał mi trojaka.

— To daj mu to jeszcze.

Ucieszony skoczyłem z powrotem do sieni, podałem starcowi pieniądz i cofnąłem rękę. Ale staruszek, który kiedyś lepsze pamiętał czasy i więcej cenił serce, jakiem mu dawano, niż wysokość datku, wyciągnął ku mnie swe spracowane, drżące ręce i lamentował pełen wdzięczności:

— O mój kochany Jezusie, niech cię Bóg chowa mój królewiczu, niech ci błogosławi chłopczyku, podaj mi swoją rękę, ja cię muszę pocałować, boś taki dobry.

Chciałem rękę cofnąć poza siebie, ale już ją pochwycił i pocałował, a wtem właśnie ojciec mój zdziwiony długą rozmową, ukazał się we drzwiach i ujrzał co się stało.

— No, no stary, nie macie co tak dziękować, nie ma za co — rzekł nie bez pewnej dumy ze mnie.

— Wielmożny panie, siódmy krzyżyk dźwigam i pracować już nie mogę; jestem na świecie, jak ten krzyż na drodze, a dobrych ludzi tak mało. Serca jakby skamieniały. Mam ja własnych synów, dwóch, ale Bóg wie gdzie w świecie, oni spytają o mnie starego, zapomnieli o mnie, bo jestem im kamieniem u nogi. — Tu staruszek pokiwał smutnie głową, głos jeszcze więcej mu zadrżał i ciągnął dalej:

— A przecież ja ich ojciec. Wychowałem, nigdy im chleba u mnie nie zabrakło, choć byłem tylko robotnikiem. Taka to nagroda i pociecha! Ta jagódka więcej mi serca okazała, niż własne dzieci. Kiedyś tylki chłopczyk mi umarł i teraz przypomniał mi się, bo może byłby dla mnie lepszym od tamtych dwóch. Człowiek, bywało, raz na wozie, drugi raz pod wozem, wielmożny panie. Z głodu już raz umierałem, dawno temu i gdyby nie koty...

— Koty? — przerwał zdziwiony mój ojciec i spojrzał bacznie na starca.

— Tak jest wielmożny panie, ale to już dawno, bardzo dawno. Wtenczas dwa dni już nic nie jadłem, a pracy znaleść nie mogłem. Użebrać coś nie udało mi się, bo byłem jeszcze młody i albo ludzie nic mi nie dali, albo policyant śledził mnie, gdy gdzie wszedłem. Ale raz kotom wynoszono jedzenie.....

— Na Garbarach może, co? — wtrącił znowu mój ojciec, dziwnie zainteresowany gawędą żebraka.

Teraz i staruszek się zdziwił, ale i uradował, widząc, jak pilnie go słuchamy.

— Tak wielmożny panie, ady tak na Garbarach, u starego Leitgebra.

Spostrzegłem, że poufały ton starca, zwabił uśmiech na twarz mego ojca i patrząc to na ojca, to na żebraka, pilnie słuchałem co mówią.

— Usiądźcie no sobie na schodach, bo się zmęczycie i nakryjcie głowę — zachęcał mój ojciec.

Żebrak usiadł i głęboko odetchnął, bo już ledwie stał na zmęczonych nogach, kij odłożył na bok, obok siebie, ale kapelusz zatrzymał w ręku.

— Wiecie, że mi się zdaje, że się znamy. To jest, ja was pamiętam, tak, tak, pamiętam z tymi kotami. I ja byłem wtenczas bodaj starszy, jak ten — tu ojciec wskazał na mnie.

— Ojcze niebieski, to może wielmożny pan...

— Patrz chłopcze — rzekł ojciec zwracając się do mnie i położył mi rękę na ramieniu. — Jak byłem tak wielkim jak ty, przyszedł raz do twego dziadka do kantoru biedny człowiek, skarżył się, że nie ma pracy, że głodny i żebrał. Ale że był młody, a syty, nie wie co to głód i rzadko wierzy, żeby ktoś głód cierpiał, nic mu nie dano i kazano wyjść. Wyszedł też biedak i wszedł na podwórze chcąc pewnie zapukać, gdzie do kuchni i prosić o kawałek chleba. A u dziadka twego miano kilka kotów, żeby chwytały myszy, bo w remizach myszy dużo szkody wyrządzały, przegryzając miechy z ryżem, kawą i cukrem. Raz na dzień, w południe, wynoszono kotom z kuchni odpadki, bo samemi myszami nie byłyby się wyżywiły. Gdy ów żebrak wyszedł z bramy na podwórze, postawiono właśnie kotom miskę z żarciem.....

— Na kamieniu wojaka Napoleona — wtrącił rozgrzany wspomnieniem i porwany radością.

— Tak jest, na kamieniu Napoleona — poparł ojciec — na kamieniu, na którym w roku 1812 stał Napoleon wielki, gdy rozmawiał tu w Poznaniu na Garbarach w podwórzu z twym pradziadkiem. Na ulicy stały wtenczas wozy, konie i armaty, aż hen za Dembińską bramę, a wojsko francuzkie ciągnęło do Moskwy. Na pamiątkę kamień ten wmurowano z jednej strony w ścianę, żeby go zachować. Na tym to kamieniu stawiano zawsze miskę ze żarciem dla kotów.

Porządny głód musiał czuć ów człowiek, któremu nie wierzono i nic nie dano, bo gdy zobaczył miskę, do której cisnęło się kilka kotów, skoczył ku nim, rozegnał je, że miaucząc rozbiegły się po kątach i sam począł palcami z miski wybierać zimne perki, kawałki tłuszczu i jarzyny. Dziadek twój i ja, słysząc pisk kotów, wyjrzeliśmy oknem i widzieliśmy całą tę scenę. Wtenczas dziadek twój wyszedł na podwórze — ja biegłem za nim — i przekonawszy się, że ów biedak naprawdę był głodny, tak, że nawet kotom zazdrościł ich żarcia, kazał mu z kuchni dać jedzenie i jeszcze coś w rękę mu wcisnął, bo żal mu było, że poprzednio niesłusznie oddalił bez wsparcia prawdziwie biednego. A tym człowiekiem to widzisz ten staruszek.

— Tak paniczku, tak, gdyby nie koty, byłbym może z głodu zmarł, bo już ledwie trzymałem się na nogach. Albo byłbym może co skradł, bo głód nie ciotka, a głodny człowiek o nic nie stoi i wszystko ryzykuje. Kiedy się najadłem, to zaraz weselej na świat spojrzałem, nabrałem ducha i pracę znalazłem. Pracowałem kilka lat u spedytora, odłożyłem trochę grosza i ożeniłem się. Najmłodszy mój synek, gdy był taki jak paniczek, umarł; tamci dwaj wychowali się, poszli do fabryki, pożenili się, wyprowadzili, potem kobieta mi umarła, a na Wszystkich Świętych będzie osiem roków to tak zachorzałem, że nie mogłem pracować. Straciłem miejsce i leżałem dwa miesiące w domu. — Gdy pieniądze się skończyły, kazałem pisać do synów. Starszy przysłał mi też dwa razy kilka talarów, ale potem przepadł jak kamień w wodzie. Może żona nie pozwoliła mu pisać do mnie, bo i pewnie sami potrzebują na dzieci. Kiedy już nic nie miałem, jak tylko to co na sobie i znowu zachorowałem, bo człowiek głodził się i martwił, wzięli mnie do szpitala i tak chodzę i proszę co łaska. Ale już pewnie nie długo, bo człowiek coraz słabszy, nogi nosić nie chcą, a grzbiet coraz więcej się chyli. Byłby już i czas, bo 7 krzyżyków, to ku ziemi ciśnie. Żeby mi tylko Pan Jezus pozwolił raz jeszcze moje dzieci oglądać przed śmiercią, to jednak moje dzieci, chociaż zemną tak się obchodzą.

Stary łzę otarł rękawem i westchnął.

— Ojciec wyżywi kilkoro dzieci, ale kilkoro dzieci nie wyżywią jednego ojca. Ja im tam nie wymawiam, ale smutno,

smutno, bo ja choć pod dziadowską kapotą, mam serce. Dziękować Bogu, że mi Opatrznością świętą tak pomaga, bo ktoby uwierzył, że wtenczas dziaduś, a dziś wnuczek prawie od śmierci mnie uratowali.

Kończąc ostatnie słowa, chwycił za kij i trzymając się drugą ręką poręczy schodów, powstał z trudnością. Wtedy ojciec mój dobył z kieszeni markę i wcisnął mu w drżącą rękę. Podziękowań było bez miary i końca.

— Jeszcze będą myśleli, że skradłem, jak będę zmieniał taki pieniądz, bo nas dziadów tylko groszaki się trzymają; grosz to dziadowski talar.

— Jak znowu będziecie głodni, to znowu przyjdźcie, a za pieniądze kupcie sobie tabaki.

— Ady za kilka fenygów, to sobie i tabaki kupię, bo mi już smutno bez niej, a to i na oczy dobra. A jak kichnę, to zawsze pomyślę: 100 lat dla wielmożnego pana i panicza!

Kiedyśmy wrócili do pokoju, pobiegłem do okna i patrzałem za starym żebrakiem, który czołgał się noga za nogą, chwytając się jedną ręką murów kamienic, a drugą wyczuwając laską drogę. Więcej go nie oglądałem, nie przyszedł. Pewnie że głodu nie miał, bo pewnie poszedł tam, dokąd kiedyś wszyscy pójdziemy, syci i głodni, gdzie nie jedzą i nie piją gdzie nie cierpią ni głodu, ni chłodu na wieki.

Dzień ów pozostał mi pamiętnym, jasno wyrył się w mej pamięci i bodaj kiedy czułem się tak zadowolony ze siebie, jak wówczas, kiedy mi błogosławieństwo starca-żebraka było nagrodą. I jak wspomniany Napoleon I, o dniu swej pierwszej komunii św. wyraził się, że był najpiękniejszym jego żywota, tak ja opisany powyżej dzień, uważam za jeden z najpiękniejszych mego życia.

Witold Leitgeber.

W celi więziennej w Ehrenbreitstein roku 1900.

Zeznanie.

Miałem zaszczyt w kozie siedzieć,
Bom gdzieś, kiedyś, miał powiedzieć,
Że w tej całej operacyi —
Wielkopolskiej agitacyi
Wiem, jak u nas rzeczy stoją
I znam dobrze tych co broją, —
Co najsilniej lud buntują,
A najzręczniej — agitują...

„Nu! więc panie, — *raus damit!*“
Indaguje radzca Schmidt,
Przed zielonym sądu stołem,
Gdzie zasiedli wielkiem kołem
Wedle wszelkich praw litery —
Nasze wspólne *Landvatery*,
W których zacnem tutaj gronie
Całą prawdę dziś odsłonię!

Trudna rada! — trza wykrztusić,
By w więzieniu się nie dusić,
Lecz w szczegóły nie chcę włazić,
Aby kogo nie urazić, —
Za wysoko gdy się machnie,
To — procesem znowu pachnie!...
A znów zasług w własnym domu,
Niechcę ująć też nikomu!...

Agitacya wciąż się szerzy,
Więc na sercu ojcom leży,
Aby zbadać też skutecznie,
Kto ją wzmaga niebezpiecznie, —
Kto cierpliwy lud buntuje,
I najsilniej agituje, —
Boć raz warto się dowiedzieć
Kto powinien – w ciupie siedzieć!...

Więc co zeznam; — po szczególe
Zapisujcie w protokule, —
Bo przedłożę wszystko zgoła, —
Fakta szkoły i kościoła; —
Prawdy w niczem nie obrażę,
Pod przysięgą winnych wskażę; —
„Meine Herren! — będę szczery:
— To — „*Polenfressery!*“

Kto ruch cały ten ułożył,
Myśl i serca nam otworzył,
Kto represyą konspirował,
A na *ludzi* nas wychował, —
I rozwinął *duszy zdrowie* —
Ten, wam za to nieodpowie,
Bo „ad patres“ już wyjechał; —
Ale sprawy niezaniechał!

A do dalszej operacyi
Wskazał drogę agitacyi
I urządził wam przed laty
Polityczny rząd — *Hakaty!*
A z takiego też organu
Macie wielkie męże stanu, —
Agitacyą w pełnem słowie
Za co — *niech im Bóg da zdrowie!*

Niezmienicie więc praktyki
Wielkopolskiej polityki, —
Nowe prądy jej niezmogą, —
Pójdzie ona swoją drogą; —
A ci znowu co prowadzą
Aresztować się nie dadzą,
Bo działają przecież z góry, —
W duchu — dawnej dyktatury!...

Co tam z tego się wyrodzi
To nas z resztą nie obchodzi; —
My tam oto nie pytamy
I awantur nie szukamy; —
Chwalim Boga, po „*swojemu*“,
Mówim doma, po „*naszemu*“,
A niewadząc ta nikomu
Agitujem w własnym domu
Modlitwą, Mową i Pracą.

Janek z pod Ostrowa.

25. 10. 1900.

Kronika.

Zaczyna się sezon koncertów i wieczorów dobroczynnych. Pierwszy taki koncert urządził komitet dam na sali bazarowej na rzecz Przytuliska dla dziatwy szkolnej. Niestety referować o nim nie mogę, bo w chwili kiedy piszę mą kronikę, koncert się jeszcze nie odbył. Dalej wiem, że zasłużone i poważane Tow. „Stella“ urządza, jak co roku, wieczór Mickiewiczowski dnia 3. grudnia. Mogę już dziś zdradzić, że na koncercie tym wystąpi p. dr. Jarnatowski, okulista, mistrz prawdziwy na najtrudniejszym, ale też najwdzięczniejszym instrumencie, na skrzypcach, dowiaduję się również, że wystąpi także na tym zawsze do serc naszych przemawiającym wieczorze panna D., córka profesora D. zaszczytnie znana pianistka, prolog zaś pisze jeden z tutejszych literatów. Oprócz tego przyrzekło „Koło śpiewackie“ łaskawie współudział — wieczór zapowiada się zatem znakomicie i wcale nie wątpię, że teatr zapełni się po brzegi. Dochodzą mię też posłuchy, że młoda, ale jędrnie się rozwijająca „Lutnia“ przygotowuje koncert. Z artystów zaś zapowiedzieli koncert na sali Lamberta panowie Górski i Stojowski na dzień 19. listopada. O pianiście Stojowskim, który u nas koncertować będzie, piszą „Wiadomości artystyczne“: „Koncert Zygmunta Stojowskiego, który się odbył w niedzielę 7. b. m. w sali „Sokoła“ we Lwowie zaznajomił nas z kompozytorem, wykształconym pod kierunkiem Żeleńskiego i Delibesa, głównie na symfonika w wytwornym stylu. Niedawno otrzymał Stojowski na konkursie Paderewskiego pierwszą nagrodę za symfonią. Przewodniczącym komisyi konkursowej był znany dyrygent lipski, Artur Nikisch. Jako pianista, jest Stojowski uczniem Paderewskiego i jako takiego, usłyszeliśmy go onegdaj. Repertoar koncertu złożony był wyłącznie z kompozycyi polskich, jak Chopina, Moszkowskiego, Paderewskiego, Stojowskiego i Żeleńskiego. Zrobił wielkie wrażenie doskonałem odegraniem i interpretacyą kompozycyi Paderewskiego i „Humoreski“ Żeleńskiego, którą na żądanie musiał powtórzyć. Z kompozycyi Stojowskiego na koncercie wykonanych, najbardziej zajęła nas sonata skrzypcowa, a zwłaszcza ostatnia część z waryacyami. Kompozycye te jak i tegoż „Sielanki“ są wdzięczne, melodyjne i nie pozbawione smaku artystycznego. Publiczność licznie zebrana nie szczędziła pianiście oklasków, zmuszając do licznych naddatków“. — Pochlebna ta ocena świadczy o wybitnym talencie i wykonawczym i kompozytorskim artysty, którego w poniedziałek mamy usłyszeć. Nie mniej znakomitym artystą jest towarzysz Stojowskiego, mistrz na skrzypcach p. Górski. Ponieważ zaś koncert przypada w poniedziałek, nie przeszkadza teatrowi, mogę więc sumiennie zalecić znawcom i lubownikom muzyki, aby na koncercie stawili się jak najliczniej. Przecież ci artyści to nasi rodacy. Opuszczam sferę towarzysko-artystyczną, aby zwrócić uwagę na wiec okręgu wyborczego mogilnickiego, który to wiec odbędzie się w Trzemesznie w niedzielę o drugiej po południu, dnia 18. b. m.

Wieców odbywa się u nas tyle i tak różnorodnych, że nieomal spowszedniały, na ten zwrócę jednakże uwagę, najpierw dlatego, że wiec ten ma swoją cechę charakterystyczną, a powtóre, że zwołuje go jeden z najwybitniejszych naszych organizatorów Patron Spółek Zarobkowych, X. prałat Wawrzyniak. Wiece te powtarzają się co roku, X. prałat jest bowiem zdania, że takie systematycznie od czasu do czasu odbywające się przeglądy wyrabiają obywatela, podnoszą siłę jego odporną i przyczyniają się do sprężystości w przyszłej akcyi wyborczej. *Obywatel się budzi.* Oprócz tego ma wiec ten swą charakterystyczną cechę dlatego, że na porządku dziennym jego umieszczony jest punkt następny: „*Sprawozdanie komitetu sądu honorowego.*"



Ucieczka Europejczyków przed chińskimi bokserami.

Oto jest nowość godna naśladowania. X. prałat zaprowadził w swym okręgu wyborczym sądy honorowe. Jakaż to pożyteczna myśl! Swary, zatargi obywatelskie tam się rozstrzygają.

Swary i zatargi nie wychodzą po za obręb powiatu — co stanowczo się przyczynia do tak potrzebnego dla nas skupienia sił. Ten X. prałat to dziś jedna z najwybitniejszych postaci w całym naszym zaborze pruskim, a zasługi jego już dziś są tak wielkie, że równać się z niemi mogą jedynie zasługi czcigodnego Patrona Kółek włościańskich, p. Maksymiliana Jackowskiego. Ma X. prałat Wawrzyniak wielu przeciwników, ale najpierw nie najgorszy to owoc, na którym osy siadają, a potem jaka skupiona w sobie osobistość, taka świadomość celu, jasna, prosta, logiczna, nie pyta o głosy zawistnych, taki mąż wykuty jakby ze stali, lekką ręką usuwa przeszkody, rzucane mu zdradnie pod stopy.

Rozpisałem się o X. prałacie Wawrzyniaku obszerniej, a jeszcze wiele za mało napisałem. Ile razy jestem na zebraniu z całem zaciekawieniem słucham nie tylko słów jego, ale obserwuję jego bystrość umysłu, z jaką umie objąć każdą sytuacyą. Jako przewodniczący przeczuwa on nieomal, że coś w zebraniu zaczyna się plątać, w lot to spostrzega i wygładza.

Powracając do sądów honorowych zalecam zaprowadzenie ich we wszystkich okręgach wyborczych. *Acer.*

Wykłady ludowe.

Wykłady ludowe półrocza zimowego 1900/1901 rozpoczęły się w *niedzielę 11-go b. m.* o godz. *5-tej* po południu na starej sali *Bazarowej* odczytem dr. Bolesława Krysiewicza o „*Karolu Marcinkowskim.*"

W dalszym ciągu odbywać się będą w miesiącach Listopadzie i Grudniu b. r. oraz Styczniu, Lutym i Marcu 1901 r. w niedzielę między godz. 5 a $6^1/_2$ po południu po dwa wykłady:

I.

Z historyi i literatury pp. Bernarda Chrzanowskiego, dr. Bolesława Erzepkiego, dr. Stefana Waszyńskiego, księdza Kaźmierza Zimmermanna i innych.

II.

Z nauk przyrodniczych pp. dr. Antoniego Chłapowskiego, dr. Bolesława Krysiewicza, dr. Dyonizego Karchowskiego, dr. Felixa Niegolewskiego, dr. Józefa Pomorskiego i dr. J. N. Szumana.

Wstęp bezpłatny.

Poznań, 6 Listopada 1900 r.

Za Wydział

Towarzystwa Wykładów Ludowych imienia Adama Mickiewicza.

Bernard Chrzanowski.

Piśmiennictwo.

Sposoby i przepisy lecznictwa przyrodnego. Opis zwięzły wszelkich zachodzących w lecznictwie przyrodnem działań i czynności ze szczególnem uwzględnieniem najnowszych sposobów. Z 48 rycinami. Berlin 1900. Wydawnictwo „Przewodnika Zdrowia" (A. Czarnowski, Berlin, Karlstr. 32). Cena 30 fen. czyli 40 hal. czyli 15 kop.

Odbywający się w naszych czasach w lecznictwie coraz widoczniejszy zwrot ku wskazówkom i wymaganiom przyrody czyni koniecznem obeznanie się bliższe z czynnikami leczniczemi i sposobami w lecznictwie przyrodnem stósowanemi. Im więcej tak wśród publiczności, jak i wśród coraz — dzięki Bogu — kół lekarzy nie jednostronnych, zdobywa sobie uznanie pewnik, iż dotychczasowe środki lecznice nie są wystarczające, że trzeba stósować więcej „przyrodnych" środków, tem niezbędniejszą staje się potrzeba zwięzłych rozmaitych podręczników w tej dziedzinie wiedzy.

Potrzebie tej dla społeczeństwa polskiego zadość ma uczynić powyższa książeczka. Zawarte tu przepisy są wynikiem długoletnich badań sumiennych lekarzy, kierowników najprzedniejszych zakładów lecznictwa przyrodnego. Oto zestawienie podanych sposobów i zabiegów: Różne rodzaje owijań. — Wycierania i zmywania. — Kąpiele. — Łaźnie parowe. — Owijania wedle Kneippa. — Okłady dla dzieci. — Kąpiele powietrzne i słoneczne. — Kąpiele elektryczne. — Kąpiele piaskowe. — Ćwiczenia w oddychaniu. — Płukanki, wlewki i zatryski. — Znaczenia ziół w lecznictwie. — Wlewki roślinne.

Zamieszczone w opisach liczne dobre ryciny ułatwiają znakomicie wykonanie zabiegów, przez co książeczka nabiera wielkiego znaczenia nawet dla takich, którzy dotąd nic nie wiedzieli o lecznictwie przyrodnem.

Nasze illustracye.

Ucieczkę Europejczyków przed bokserami chińskimi przedstawia illustracya zamieszczona obok. Jak wiadomo, bokserzy chińscy dali się niejednokrotnie Europejczykom bardzo we znaki, oni to spowodowali głównie obecną zawieruchę chińską. *r.*

Wiadomości.

W ubiegły piątek, dnia 9-go bm. przed południem zaszczyciła nas szanowna policya po dwakroć odwiedzinami. Najpierw przyszedł komisarz policyjny, p. Portasiewicz, celem skonfiskowania numerów „Pracy“ z dnia 1-go kwietnia rb. (num. 14), w których znajdował się ów inkryminowany znamienny artykuł Vestera pt. „Lojalni i wierni poddani“, za który zasądzono swego czasu p. Siemiątkowskiego na 2 miesiące więzienia. Krótko po nim przyszło dwóch wyższych urzędników policyi politycznej i przedsięwzięło z rozkazu sądu bardzo ścisłą, kilkogodzinną rewizyą w redakcyi, administracyi i ekspedycyi „Pracy“, poszukując rękopisu artykułu Poznańczyka, zamieszczonego w nr. 43-im „Pracy“ pt. „Kara więzienna.“ Przewrócono całą redakcyę, administracyę i ekspedycyę, przetrząśnięto wszelkie biurka, szuflady itd., ale rękopisu nie znaleziono. Skonfiskowano tylko wszystkie zapasowe numery „Pracy“ z dnia 21-go października rb. (nr. 43).

Księgarnią, skład nut, materyałów piśmiennych oraz dewocyonalii pod firmą „Księgarnia katolicka“ otworzył pan Antoni Stoc w Katowicach (Górny Śląsk) obok domu towarowego Bobreka. Nowe to przedsiębiorstwo polecamy łaskawym względom szanownych Czytelników Katowic i okolicy bliższej i dalszej. Długoletnia praktyka p. Stoca w pierwszorzędnych firmach w kraju i zagranicą, rozległe stosunki handlowe oraz dostateczny zapas gotówki umożliwią mu zadanie zupełnego zadowolenia Klienteli.

Panu Stocowi zasyłamy staropolskie: „Szczęść Boże!“ i jednocześnie nadmieniamy, że u pana Stoca założyliśmy agenturę „Pracy“ i „Czytelni Polskiej“ na Katowice i okolicę. W agenturze pana Stoca mogą nowi abonenci od każdego czasu zapisać sobie „Pracę“ i „Czytelnię Polską.“ Tamże można także dostać bezpłatnie aż do Nowego Roku okazowe numera „Pracy.“

Z teatru. W sobotę, dnia 17-go bm. i w niedzielę dnia 18-go wieczorem ukaże się na scenie wspaniała tragedya Wiliama Sheakespeare'a „Król Lear“ w tłomaczeniu Józefa Paszkowskiego. Rolę tytułową wykona p. dyrektor Ryger.

W niedzielę po południu „Gwiazda Syberyi“ dramat w 3 aktach (4 obrazach) Leopolda hr. Starzeńskiego po cenach do połowy zniżonych.

Na tej bardzo pięknej i nadzwyczaj patryotycznej sztuce jest zawsze teatr przepełniony.

Na fundusz imienia Janiny Omańkowskiej złożyli w dalszym ciągu: pp. J. Pogłodziński 50 fen. B. Pogłodziński 50 fen. T. Pogłodziński 30 fen. L. Kamerska 25 fen. Fr. Kamerska 50 fen. Jan Pruszak 50 fen. Jan Pozorski 50 fen. J. Rotkowiak 55 fen. Fr. Maciejczak 55 f. J Wierzchowski 50 fen. J. Sokołowski 50 fen. J. Poczękowski 30 fen. S. Pogorzelski 50 fen. K. Kerber 50 fen. A. Nowak 50 fen. Jan Smekłała 25 fen. Franciszka Widynska 25 fen. Ignacy Więcek 50 fen. Pogłodzińska 50 fen., wszyscy z Berlina, razem 8 mrk. 45 fen.; Bolesław Laurentowski z Poniecą 1 mrk. (w znaczkach pocztowych), aptekarzowa Nizińska z Koronowa 6 mrk. 70 fen. (w znaczkach pocztowych), P. Paliński, redaktor „Lecha“ 15 mrk. z następującym dopiskiem: „Redakcya „Pracy“ w Poznaniu — Serdeczne Bóg zapłać za życzenia przesłane w dzień naszych godów małżeńskich. Przesyłamy 15 mk. zebranych na fundusz p. J. Omańkowskiej. Z serdecznem pozdrowieniem P. i W. Palińscy.“

A. A. z K. 1 mrk. 30 fen. (w znaczkach pocztowych), Józef Świątalski z Bilcza Złotego (Galicya) 1 mrk. 50 fen., zebrane na weselu u państwa Luzas w Krotoszynie 7 mrk. T. A. — K. D. z Poznania, zebrane przy zabawie w karty 3 mrk.

Dotąd zebraliśmy na ten cel 199 mrk. 26 fen. Z tej sumy doręczyliśmy Towarzystwu „Samopomoc“ 124 marki 52 fen., pozostało zatem u nas 115 mrk. 69 fen.

Na odbudowanie wieży na Jasnej Górze złożyli w dalszym ciągu pp. M. Wyganowska z Krobi 1 m., Frankowski z Mur. Gośliny 3 m. Towarzystwo Czeladzi piekarskiej w Poznaniu 3 m. Razem złożono dotąd na ten cel 158 m. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

Od komitetu wydawnictwa „Jednodniówki“ otrzymujemy następujące doniesienie:

„Dla ostatecznego zamknięcia rachunków z sprzedaży „Jednodniówki“ potrzebnem jest zrealizowanie wszystkich zaległości. — Upraszamy zatem wszystkie te osoby, które odebrawszy „Jednodniówkę“ czy to od komitetu Pań, czy to od wydawcy „Pracy“, p. Marcina Biedermanna, a które dotychczas należytości nie przysłały, aby były łaskawe nadesłać je do 1-go grudnia r. b. pod adresem Przewielebnej Siostry Ireny Łuszczewskiej Poznań — ul. Piotra Nr. 8. (1,50 mr. za egzemplarz.)“

Prośba. Byłoby mi bardzo miło, gdybym mógł dostać dla skompletowania roczników następujące numera *„Pracy“*: rok I (1896) 7—14, rok 1897: 1—68, 70—72. 74, 90—92, 96, 98, 99, 100, 102; rok 1898: od 14 do końca: rok 1899: 31. — *„Przeglądu Poznańskiego“* rok 1894: 23; rok 1895: 8, 9, 13, 14, 43, rok 1896: 32, 39, 41,

Możeby mi abonenci, którzy przeczytanych pism nie zbierają, odstąpili powyższych numerów za stósownem wynagrodzeniem.

Czytelnik „Pracy.“

Adres Czytelnika chętnie wskażemy. Przyp. Redakcyi.

Agentura Centralnego Towarzystwa Gospodarczego w Poznaniu uprasza szanownych panów, mających zamiar w roku przyszłym robotników galicyjskich do robót polnych i fabrycznych sprowadzić, aby łaskawi byli zamówienia, o ile możności, jak najwcześniej, pod moim adresem nadesłać. Proszę równocześnie tych szanownych panów, którzy formularzy im nadesłanych a dotyczących sprawowania się zatrudnionych u nich robotników galicyjskich, jeszcze nie wypełnili, by zechcieli niezwłocznie wypełnione mi nadesłać, ażebym, wyjeżdżając w końcu listopada do Galicyi, celem zapewnienia sobie odpowiednich sił roboczych na rok przyszły, tych, co się źle sprawowali, nie przyjmował i nie wysełał. W interesie więc szanownych odbiorców proszę raz jeszcze z wypełnieniem i odesłaniem formularzy nie zalegać. Dostawę robotników galicyjskich rozpoczynam w roku przyszłym od 1-go marca i służę wszelkiemi informacyami odwrotnie. J. Kolski.

Poznań, Strzelecka ulica nr. 11.

Wykłady ludowe. Pierwszy w bieżącem półroczu zimowem wykład, staraniem Towarzystwa wykładów ludowych, zgromadził w ubiegłą niedzielę na starej sali bazarowej bardzo liczną publiczność płci obojga. P. dr. Bolesław Krysiewicz miał piękny, popularny wykład o Karolu Marcinkowskim. Podziękowano mu oklaskami.

Gniezno. W poniedziałek, dnia 5-go b. m. odbyła się w redakcyi „Lecha“ rewizya, mająca na celu wynalezienie listu ev. manuskryptu w sprawie śp. Schliepera, fizyka wągrowieckiego. Przez półtorej godziny szukano bezskutecznie. Następnie odbyła się także rewizya w domu naczelnego redaktora „Lecha“ p. Palińskiego, która także godzinę trwała również bez rezultatu. Jak wielką gorliwość w tym kierunku, mogą osądzić Czytelnicy z tego, że policya dała polecenie ślusarzowi otworzenia drzwi do redakcyi, gdyż właśnie w tym czasie, kiedy policya chciała odbyć rewizyą, znajdował się redaktor p. Paliński w urzędzie stanu cywilnego.

Na weselu p. Piotra Palińskiego, naczelnego redaktora „Lecha“ złożono na fundusz p. Janiny Omańkowskiej 15 marek, które na ręce redakcyi „Pracy“ wysłane zostały.

Powyższą kwotę odebraliśmy i doręczamy gdzie należy. P. Palińskiemu i godnej małżonce jego „Szczęść Boże!“ Red. „Pracy.“

Rodak nasz, p. Karol Łowiński, inżynier z Kolonii, powołany został na zaszczytne stanowisko asystenta profesora Reichela przy politechnice w Charlottenburgu.

Dla teatrów amatorskich poleca wielki wybór komedyi i monologów itd. księgarnia A. Cybulskiego w Poznaniu. Bliższe szczegóły podane są w odnośnym anonsie, na który zwracamy baczną uwagę naszym Towarzystwom w kraju i na obczyźnie.

Handel materyałów piśmiennych „Aquila“, pani Maryi Bartsch przy św. Marcinie nr. 15 poleca wszelkie artykuły piśmienne i galanteryjne po bardzo nizkich cenach.

Esencyę z kasztanów, niezawodny, wypróbowany środek na podagrę, darcie w kościach, łupanie w głowie itd. poleca apteka J. Jasińskiego w Poznaniu przy starym Rynku nr. 75 (patrz ogłoszenie).

Na specyalne przedsiębiorstwo instalacyi elektrycznej renomowanej firmy „F. Biskupski“ w Poznaniu przy ulicy Berlińskiej nr. 11 zwracamy baczną uwagę Szanownym Czytelnikom. Pan Biskupski zakłada, naprawia, rewiduje szybko i poprawnie pod gwarancyą gromochrony, dzwonki, telefony, światło, siłę. (Patrz stale zamieszczany anons.)

Wyborne, najrozmaitsze pieczywa ma zawsze świeże na składzie pierwszorzędna nowo w mieście naszem przy ulicy Rycerskiej 39 otworzona i z wielkim komfortem urzą-

dzona cukiernia p. Teodora Rudnickiego, byłego właściciela renomowanej cukierni w Gnieźnie.

Ze Swiecklego. Dnia 11-go b. m. obchodził w Cieszynie pod Zbrachlinem pan Franciszek Rozmarynowski z małżonką swoją Anną z domu Czajkowską, uroczystość złotego wesela. Jubilatom zasyłamy serdeczne życzenia. Oby Pan Bóg dozwolił im w czerstwem zdrowiu doczekać conajmniej wesela dyamentowego!

Slub. W dniu 6-go bm. pobłogosławiony został w kościele Przemienienia Pańskiego w Poznaniu związek małżeński pomiędzy panną Anielą Thielemann z Poznania, córką śp. Thielemanna był. posiedziciela Rzadkwina pod Strzelnem i Stanisławy z Siemiątkowskich, z panem dr. i prof. Feliksem Siemiątkowskim z Drohobycza w Galicyi. Młodej parze Szczęść Boże!

Dnia 6-go listopada pobłogosławił ks. Bronisz w kościele farnym w Krotoszynie związek małżeński między p. Franciszkiem Wybieralskim z Wolicy-pustej, a p. Antoniną Lusas z Krotoszyna. Szczęść Boże młodej parze!

Slub i złote wesele. Dnia 13-go b. m. odbył się w kościele parafialnym w Kościerzynie, w Prusach Zachodnich ślub dr. med. p. Franciszka Lniskiego z Czarnkowa w Poznańskiem, syna Hipolita i Eufrozyny z Grzymała Łaszewskich Ostoja Lniskich z panną Wincentyną Łaszewską z Kościerzyny, córką Leona i Wincentyny z Półkozic Pawłowskich Grzymałów Łaszewskich.

Równocześnie odbyła się uroczystość złotego wesela rodziców pana młodego.

Tak Jubilatom jak młodej Parze złożyliśmy telegraficznie nasze najserdeczniejsze życzenia.

Czersk We wtorek, dnia 6-go b. m. pobłogosławiony został w tutejszym kościele parafialnym związek małżeński pomiędzy panem Maksymilianem Duszyńskim, sekretarzem sądowym z Kościerzyny, a panną Maryą Smaglińską, córką pani Julii Smaglińskiej z Czerska. W wzruszających słowach przemówił ksiądz Kurland, wuj młodej panny, do nowożeńców, życząc im błogosławieństwa Bożego, poczem udzielił im aktu ślubnego. Młodej parze szczęść Boże!

Niedawno temu ciężki smutek dotknął dwie tutejsze rodziny, których ojcowie od samego początku w zarządzie naszego towarzystwa ludowego odznaczali się zawsze wytrwałą i umiejętną pracą. Na miejsce wiecznego spoczynku odprowadziliśmy jednego dnia córeczkę szanownego prezesa naszego Wańdzię Klińską, nazajutrz zaś zwłoki bibliotekarza, p. Izydora Grabańskiego, zgasłego w sile wieku ku żalowi wszystkich, którzy znali z blizka wzorowy żywot tego prawego katolika i Polaka. Obu stroskanym rodzinom wyrażam na tem miejscu w imieniu całej drużyny najserdeczniejsze współczucie.

Największe i najstarsze dwa handle bławatne czyli łokciowe Czerska przeszły w ostatnim czasie z rąk żydowskich na własność naszych współwyznawców. Obydwom nabywcom, i p. Semrauowi i firmie Adolf Bonin & Co. życzę z całego serca najlepszego powodzenia.

Znany inspektor policyjny Büttner zmarł w mieście naszem w 75 roku życia. Poprzednio był komisarzem obwodowym, w r. 1875 powołany został do tutejszej dyrekcyi policyi, gdzie mu powierzono wydział polityczny, nadzorowanie prasy polskiej, a w swym czasie mianowicie ściganie t. zw. majowych księży. W wykonywaniu tego smutnego obowiązku okazywał jednak dużo taktu i względności, tak samo później na stanowisku lektora gazet polskich i inspektora dla nadzoru Towarzystw polskich. Od r. 1892 przeszedł w stan spoczynku. Zmarły cieszył się dla wyżej wymienionych zalet sympatyą także w kołach polskich. Urząd swój spełniał sumiennie, ale specyalnej policyjnej natury nie miał.

RUCH W TOWARZYSTWACH.

„Towarzystwo Czeladzi katolickiej w Sremie“ urządza w niedzielę d. 18 bm. na sali hotelu „Victoria“ przedstawienie amatorskie i odegra: monolog „Pierwszy raz“ przez P. Kośmińskiego, „Prawica i lewica“, sztuka ludowa w 3 aktach ze śpiewami i tańcami przez Dr. S. Friedberga. Początek punktualnie o godz. $7^1/_2$ wieczorem. O liczny udział uprasza uprzejmie

Zarząd.

Polsko-Katolickie Towarzystwo „Sobieski“ w Brandenburgu urządza w niedzielę, dnia 18-go listopada rb. w nowomiejskiej strzelnicy obchód 10-tej Rocznicy. Początek punktualnie o godzinie 6-tej. Program: 1. Zagajenie posiedzenia przez przewodniczącego. 2. Powitanie delegacyi i gości. 3. Wspólny śpiew: „Boże coś Polskę.“ 4. Sprawozdanie sekretarza z działalności Towarzystwa. 5. Występ Kółka śpiewackiego. 6. Przemówienie delegacyi. 7. Koncert cytrowy. 8. Wspólny śpiew: „Bracia Rocznica.“ Następnie teatr amatorski: „Mąż od biedy.“ Potem zabawa i tańce. O liczny udział członków i gości prosi

Zarząd

Królewska Huta dnia 7. 11. 1900. Dnia 18 listopada br. urządzają członkowie kółka Towarzyskiego“ teatr amatorski. Odegrane będą dwie sztuki pod tytułem: „Stary piechur i syn jego huzar“ i „Wesele Zosi“ na nowej sali p. Opawskiego przy ulicy Katowickiej. Jest to największa sala w całym Górnym Sląsku i spodziewać się należy, że nasza Publiczność jak najliczniej na przedstawienie pospieszy. Początek o godz. 7-mej. Po teatrze zabawa z tańcami dla członków i zaproszonych gości. Bliższe szczegóły i ceny miejsc będą wyznaczone na afiszach. Czysty dochód jest przeznaczony na cele dobroczynne.

O liczny udział uprasza zarząd „Kółka Towarzyskiego“

Andrzej Gogolok, sekretarz.

Od Redakcyi.

Dyrekcyi Tow. Przemysłowego w Poznaniu. Numer niniejszy nosi datę 18-go listopada — notatka nadesłana dnia 14-go b. m. dotyczyła zebrania, które się odbyło już 15-go listopada, dla tego jej nie umieściliśmy.

Panu W. Nar... w Berlinie. Wiersza nadesłanego ze względów prasowych zamieścić nie możemy.

Pannie Jadwidze M. z Gniezna. Drukować nie będziemy, zbyt osobiste.

Panu M. w Ostrowie. Czy Pan chcesz tę łacińską odę podawać za swoję? Przecież ona jest żywcem wzięta z Horacego Carm. I. 5, a to że pan pierwsze dwa wiersze zepsuł pod względem myśli, rytmu i języka, ani też owe trzy wykrzykniki za „intemptata nites“ nie nadają Panu tytułu autorstwa. Zamiast się stroić w cudze piórka, radzimy Panu zająć się gramatyką łacińską i rytmiką, jako też więcej wczytywać się w Horacego. „Levilis“ nie jest wcale wyraz łaciński, a ody tej nie pisał Horacy „do serduszka zatwardziałego,“ lecz przeciwnie do płochego, kochliwego serca swej Pyrrhy, jak to z myśli naocznie wynika.

Janowi Przyjacielowi. Cześć takiej młodzieży! Pisać o tem nie można, aby nie narazić młodzieży na nieprzyjemności ze strony szpiclów szkolnych.

Panu Czesławowi M. w Poznaniu. Będziemy się starali zadosyć uczynić Pana życzeniu.

Panu Wiktorowi E. w Bydgoszczy. Dziękujemy.

Panu J. R. w Przemyślu. W przyszłym roku, manuskrypt zachowaliśmy.

Panu G. w Kol. Pismu, jak „Gazeta Ostrowska“, które pod obuchem systemu pruskiego walczy, którego Redaktor naczelny w więzieniu, pismu takiemu trzeba podać rękę, trzeba je poprzeć. Usterki i niedomagania trzeba przemilczeć, by nie szkodzić.

Szan. Towarzystwo w San Feliciano. Ze względu na zgorszenie, jakie wśród wielu naszych Czytelników z prostego ludu sprawić by mogła korespondencya o niegodnym kapłanie, oddaliśmy ją do ogłoszenia dla lwowskiego tygodnika, przeznaczonego dla inteligencyi i na tej drodze bezwątpienia do wiadomości kardynała Ledóchowskiego dojdzie.

P. *Otulak Oberhausen.* Korespondencyi nie otrzymaliśmy. Prosimy o nadesłanie też wiadomości, czy istnieją tam towarzystwa polskie i jakie.

P. *Z. Radomskiemu.* Serdeczne dzięki za dobre słowo i wyrazy uznania. A prosimy o wiadomości o tamtejszych towarzystwach polskich do numeru „Polaków na obczyźnie.“

P. P. *Wróbel.* Korespondencyi z Hildesheimu nie otrzymaliśmy. Prosimy odpowiedzieć szczegółowo na kwestyonaryusz.

P. *Mrugalski* w Blumenthal raczy dać nam wiadomość o tamtejszych Polakach.

P. *Szyper.* Tę sprawę polityczną poruszy *Vester.*

Panu St. K. w Sr. Wiersza „Cieniom Mickiewicza“ nie umieścimy, bo myśl w nim ciągle ta sama, zawsze blado i słabo wyrażona. Zbyt wiele też usterek przeciwko zasadom rytmiki i rymu.

Zagadka illustrowana.

Kłótnia braci.*)

Gdy stryj umarł, Piotr, Paweł i Jakób odziedziczyli po nim całą fortunę i zaraz się pokłócili przy podziale — każdy utrzymywał, że go bracia skrzywdzili.

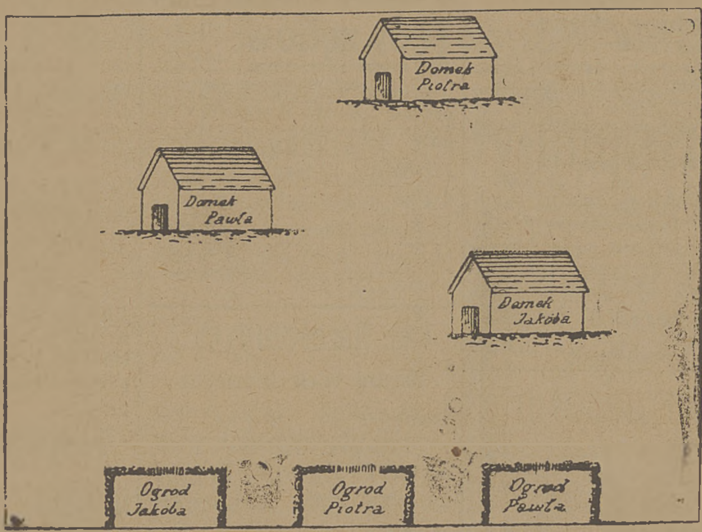
Ponieważ jednak spadek składał się z trzech domków i trzech ogrodów, łatwo było dokonać równego podziału. Ale znowu każdy chciał mieć ogródek jak najbliżej domku (ogródki znajdowały się w pewnej odległości). Spór się zaostrzył, Piotr, Paweł i Jakób zaczęli rzucać w siebie ostremi słowami. Wreszcie pokłócili się na dobre.

Później spostrzegli, że źle zrobili, każdy to sobie po cichu powiedział, ale miłość własna nie pozwalała się przyznać głośno. Aby zaś nie rumienić się ze wstydu, unikali spotkania ze sobą. Łatwe to nie było; spojrzawszy na rysunek nasz, niejeden czytelnik może nawet pomyśli, że niemożliwą jest rzeczą przeprowadzić tak drogi z domków do ogródków, aby się nie przecięły, a więc, aby któregoś dnia nie nastąpiło spotkanie. A jednak bracia już od dwóch lat miesz-

kają w domkach, chodzą do ogródków i nie spotkali się nigdy, gdyż dróżki nie przecinają się wcale.

Jak tedy idą te dróżki?

*) Przeznaczamy za dobre rozwiązanie jedną nagrodę t. j. książkę wartościową. Los rostrzygnie komu nagroda przyznaną będzie. Rozwiązania przyjmujemy do dnia 22-go b. m. włącznie.



Rozwiązanie zagadki premiowej

z nr. „44-go „Pracy“:

Kornel Ujejski, potomek starodawnej szlachty herbu Szreniawa, urodził się na Podolu galicyjskiem r. 1823 we wsi Boromianach, szkoły kończył u Bazylianów w Buczaczu, uniwersytet we Lwowie. W r. 1848 ożenił się z hr. Komarowską. W swej starości zamieszkał u syna Romana w Pawłowie w Galicyi. Syn też zamknął 19 września 1897 r. powieki starca. Najpiękniejsze dzieła są: „Skargi Jeremiego“, natchnione wypadkami galicyjskiemi z r. 1846, a przemawiające do uczuć ogółu, potężnym i gorącym językiem proroka hebrejskiego wywarły wrażenie ogromne. Jedna szczególnie z tych żałobnych pieśni, wysyłająca niemą skargę do niebios t. j. chorał **„Z dymem pożarów“**, do której muzykę dorobił Nikorowicz, zapewniła mu na zawsze zaszczytne miejsce w gronie naszych poetów.

Rozwiązania posypały się z blizka i zdaleka w tak wielkiej ilości, że nie możemy dla braku miejsca zamieścić całego bardzo długiego spisu osób, które nadesłały dobre rozwiązanie.

Nagrodę przez wylosowanie otrzymała pani Felicya Kamińska w Chełmnie.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ **Wincenty Szmytkowski.**

Pannie **Stanisławie Gertrudzie** [Fiszer
sekretarce Towarzystwa katolickiego Polek „Wanda“ w Hamburgu **w dniu Imienin** składa serdeczne powinszowanie: 677
Jak srebrzysty strumyk płynie
Około zielonej niwy,
Tak Pani wiek niechaj płynie,
W łasce Boga miły i szczę- [śliwy.
Ludwik Rozmuś.

Panu
Stanisławowi Rankowskiemu
w dniu Imienin najserdeczniejsze życzenia składają: 686
Ludwik Rozmuś, Michał Grzesiek.

W magazynie ubrań dla dzieci

F. Kutznerowej

teraz Bismarka ul. 2, part.

przyjmuje się tak jak dawniej **sukienki i ubrania dla chłopców** w robotę podług najnowszych modeli. 649

Są do nabycia w księgarniach dzieła liczne pedagog: **Reussnera** p. t.

Najlepsza metoda 608

najłatwiejsza do **bardzo prędkiego** a **gruntownego** nauczenia się **Języków Obcych bez nauczyciela**, z objaśnieniem **wymowy** i z **kluczem** na końcu każdego dzieła:

„Samouczek“ Polsko-Niemiecki, kurs wstępny (Elementarz) po 25, 50 i 90 fen. kurs I-y 1,25 mk. kurs II-gi 3,35 mk. komplet (oba kursy) 4,20 mk.

„Samouczek“ Polsko-Francuzki, kurs I-szy 2,50 mk., kurs II-gi 6,30 mk., — Gramatyka Polsko-Francuzka 2,50 mk. **Wypisy Francuskie (Chrestomathie Française)** 1,65 mk.

„Samouczek“ Polsko-Angielski, kurs I-y 1,55 mk., kurs II-gi 2,50 mk. kompl. 3,55 mk.

„Samouczek“ Polsko-Ruski 32 zeszyty po 20 fen.

Elementarz Polski z wzorkami pisma i rysunków i z obrazkami (741 figur) po 4, 13, 43, 65 fen.

Skład główny **w Warszawie ul. Złota 6** wysyła książki tylko za poprzedniem otrzymaniem należności gotówką lub pocztowemi znaczkami niemieckiemi. — Zeszyt I-szy Samouczka francuskiego i ruskiego wysyła się **gratis**.

Skład obuwia

M. Szymański

Poznań, Wrocławska ul. Nr. 13

poleca

Obuwie męzkie, damskie i dla dzieci

od najprostszego do najwytworniejszego własnego wyrobu. 599

Wielki wybór **obuwia pilśniowego** jako też **kaloszy** ruskich i niemieckich.

Ceny nadzwyczaj nizkie.

Spec.: obuwie podług miary eleg. i starannie wykonane.

Dla teatrów amatorskich!

Jedyne wydawnictwo teatralne z muzyką na fortepian i podłożonemi śpiewami, pięknemi rycinami tytułowemi o dwubarwnym druku pod tytułem:

NARÓD SOBIE!

Po 1 m. No. **1.** Halina. Bursztyny Kasi. — 2. Żdżarski, akademik, cz. Ofiara za Ojczyznę. — 3. Kucz, Ulica n. Wisłą. — 4. Adam i Ewa. — 5. Papugi naszej babuni. — 6. Bayard. Nic bez przyczyny. — 7. Wieniarski. N. Wisłą. — 8. Dębicki. Bartos z pod Krakowa. — 9. — Żyd w beczce. — 10. Grang & Thiboust. Było to pod Wagram. — 11. Galasiewicz. Aby handel szedł. — 12. Ładnowski. Lokaj za pana. — Staruszkowie w zalotach. — 13. O chlebie i wodzie. — 14. Kamiński. Kominiarz i młynarz. — 15. Jasiński. Nowy Rok. — 16. Żółkowski. Bankructwo partacza. — 17. Deslandes. Małe ładaco. — 18. Dmuszewski. Szkoda wąsów. — 19. Godebski. Miłostki ułańskie. **Po 2 m.** No. 51. Szygethi. Stary piechur i syn jego huzar. — 52. Friedberg. Prawica i lewica. — 53. Brodziński. Wiesław. — **Po 1,50 m.** Korzeniowski. Okrężne. 652

Słowaczyński, Chłopiec 100 dukatowy, cz. Zaklęta w kaczkę księżniczka na Ordynackiem 50 fen. — Pobratymiec, Monologi, 2 ser. po 25 fen. wysyła z nadesłaniem należytości, obszerne katalogi darmo i franko. 652

A. Cybulski, Księgarnia, Poznań.

Zakład dentystyczny

S. K. Grabowski,

Poznań,

Wielkie Garbary nr. 18, róg Butelskiej,

przyjmuje od 9—1 i od 2—7. 650

Spółka Stolarska

w Swarzędzu

poleca swój 411

wielki

magazyn mebli

z dobrego materyału i własnego wyrobu.

Ceny przystępne.
Usługa skora.
Najtańsze źródło zakupna dla sprzedających z drugiej ręki.

Fortepiany

najnowszej konstrukcyi, o pełnym i dźwięcznym głosie, nowe i używane, poleca tanio

A. Drygas, 505

ul. Rycerska nr. 33, narożnik św. Marcina.

Wszelkie druki

wykonuje gustownie i po umiarkowanych cenach

Drukarnia „Pracy“

w Poznaniu, Rycerska ul. 38.

Bulion wołyński i Polski dominialny,

Herbaty Ruskie,

Porter Angielski,

Sardynki w oliwie,

Groszki, Szabelki, szparagi, kompoty i marmolady

poleca 639

hurtownie i detalicznie

J. Smyczyński,

Śt. Marcin 27.

Bazar

Św. Marcin 54

poleca na sezon zimowy towary wełniane i trykotowe, pp. suknie gotowe, wełny, towary krótkie, chustki, szale. Bieliznę damską — męską — dziecinną po nader tanich cenach. 640

Z wysokim szacunkiem

Marya Różanowicz.

Polecamy naszym nakładem wydany na rok 1901

kalendarz kartkowy

tak zwany „Biskupi“.

Do nabycia we wszystkich większych księgarniach i składach artykułów dewocyjnych

S. Bendlewicz & Sp.

Pleszew. 635

Ból zębów spróchniałych

usuwa natychmiast na pewno **„Krepp'a wata do zębów** (20% waty Carvacrol) za flaszkę 50 fen. tylko prawdziwa w Centralnej drogeryi. B. Śniegockiego i u Teodora Müllera Berlińska 16 i Głogowska ul. 87.

Dla Narzeczonych!!

Bardzo wiele pieniędzy

zaoszczędza każdy, kto — kupując ślubne pierścionki, zegarek, lub biżuteryą żąda mego katalogu. 297

J. Strzelecki, Mogilno,
(filia w Inowrocławiu).

J. K. Jasielski

adwokat ludowy

(pozasł. aktuaryusz sądowy)

w Poznaniu,

Stary Rynek 88 II ptr.

spisuje kontrakty, skargi, podania do wszelkich władz, obrony w sprawach kryminalnych, informacye w sprawach procesowych, reklamacye do podatku i wojskowości i wykonuje wszelkie prace piśmienne.

---

75 fen.

kwartalnie kosztuje teraz

„Szkółka Domowa“

jedyny w zaborze pruskim tygodnik obrazkowy dla

samouków:

dzieci i młodzieży. Zawiera osobną 579

Szkółkę rodzicielską

czyli naukę, jak rodzice w domu uczyć mają dzieci tego, co najpotrzebniejsze, oraz naukę abecadła i naukę pisania z wzorami i wskazówkami:

Sam się pisać nauczę!

Na poczcie „Szkółka“ zapisana we wykazie gazet

II Nachtrag 126 a.

W Poznaniu zapisywać ją można w każdej agencyi gazet za 75 fen., z odnoszeniem do domu za 1 mk.

Numerów na okaz bezpłatnych żądać trzeba pod adresem: **„Szkółka Domowa“ Poznań (Posen) Piekary nr. 7, III.**

Nauczycielka

znajdzie miejsce od zaraz do 3 dziewcząt. Zgłoszenia z warunkami prosze do Eksp. „Pracy“ pod lit. S. Nr. 657. 657

Znakomita okazya!

W jednem z większych miast Księstwa jest do nabycia

Hotel

stary, renomowany, ***odwiedzany przez wszystkich urzędników etc. z jedyną,*** na całe miasto, salą dla zabaw towarzyskich i przedstawień teatralnych. — Właściciel obecny jest

Niemiec.

Prócz tego jest do ***wydzierżawienia***

Hotel

pięknie położony i urządzony. Zaprowadzone ***światło elektryczne. Miasto powiatowe blizko granicy*** polskiej. 669

Li tylko dla rodaka!

Łaskawe of. uprasza się ***nadesłać*** do firmy

Katon

(wł. **N. Dobrowolski**)

Poznań, św. Marcin 13.

Ożenek!

Szukam dla córki 22-l. przystojnej skromnie wychowanej z posag. 3000 mk. stosownej partyi. Panowie z pewnym utrzymaniem z podaniem bliższych szczegółów z fotografią raczą złożyć of. do Ekspedycyi „Pracy“ pod ***No. 670.***

Znajdą miejsca:

Nauczyciel domowy do trzech chłopców, najstarszy ma 8 lat, — **Nauczycielki** egz. muzykalnej, jeżeli mówi dobrze po francuzku 900 mk. jeżeli nie to 600—700 mk. **Nauczycielki** nieegz., lub **Bony** 1-szej klasy mówiącej ***dobrze*** po niemiecku na 300 do 360 mk. **Bony** do Łodzi na 120 rubli na rok. **Osoby** przyzwoitej do Królestwa mówiącej po niemiecku, znającej krawiecczyznę, krój bielizny i mogącej zajmować się gospodarstwem 645

A. Koczorowska

Nauczycielka, Strzelecka 3 B.

Ucznia

z lepszem wykształceniem szkólnem, przyjmie do handlu drogeryjnego 668

J. Janicki,

Nakło.

Ucznia

przyjmie do handlu bławatów

J. L. Nowicki

w Ostrowie.

Pięknie urządzone salony.	Przystanek kolei elektr. Teatr miejski. **T. Rudnicki** Adr. telegr. Rudnicki, cukiernia, Poznań.	Pokój dla pań.

Cukiernia pierwszorzędna, 665

Telefon nr. 228. ul. Rycerska nr. 39. Telefon nr. 228.

Usługa skora.

poleca wszelkie napoje, jak

kawę, herbatę, czekoladę i t. p.

Piwo z Dortmundu „Union Brauerei“

codziennie świeże z sądka.

Rozmaite wina, likwory i t. p.

li tylko w dobrych gatunkach.

Torty

w wielkim wyborze,

Cukry deserowe,
„ do wina
„ do herbaty,
„ kawy i t. p.

Przyjemny pobyt w lokalu. Do wszelkiego pieczywa używam pod gwar. tylko czyst. masła a nie margaryny.

Czytelnie.	Aby zlecenia mogły być na czas wykonane, uprasza się o łaskawe wczesne zamówienia. Wszelkie zamówienia uskuteczniają się szybko i starannie. Opakowania orygin. nie liczę, natomiast dodane zaś skrzynki po cenie zakupna.	Wielki wybór pism.

Zarys dziejów Polski porozbiorowej

z dodaniem najważniejszych wiadomości z literatury i geografii polskiej, wydanie drugie znacznie pomnożone, 52 obrazami sławnych Polaków, wodzów i bitew oraz 4 mapkami ozdobione, poleca 197

Księgarnia Polska (W. Tempłowicz)

Poznań, Hotel francuzki.

Cena m. 1,80, z przesyłką 2 m. Za nadesłaniem należytości posyłka odwr. pocztą.



Poznań 1895 srebrny medal.	Gwarancya długoletnia.	Gniezno 1896 złoty medal

Po przebudowaniu i znacznem powiększeniu magazynów naszych polecamy meble wykończone li tylko z dobrego, suchego materyału i to pod gwarancyą od skromnych do najwykwintniejszych.

Meble polecają Dankowski i Sp.

Poznań, Wilhelmowska 20, obok p. Starka.

Własnego wyrobu meble wyściełane; — **własny** wielki i zaszczytnie znany warsztat **tapicersko-dekoracyjny.** Mamy gotowe **kompletne** pokoje skromne i eleganckie; orzechowe, dębowe, złocone (bardzo modne sypialnie jaworowe i t. d.

Wszystko we wielkim wyborze gotowe na składzie. Materye meblowe — prawdziwie francuzkie — w stylach do mebli odpowiednich.

Dankowski i Sp.

Magazyn mebli,

Poznań,

ulica Wilhelmowska 20.

Na spłatę ratami. zgadzamy się.	Długoletnia rzetelna gwarancya.

Papierosy z fabryki

SULIMA

są najlepsze.

Produkcya roczna: 151 milionów.

Jeneralna ajentura i główny skład

S. Żychliński w Poznaniu.

Cygara w największym wyborze. 968



St. Brzeski,

Poznań, św. Marcin Nr. 64.

Telefon Nr. 1101.

Warsztat elektro-mechaniczny.

Biuro instalacyjne

telefonów, światła i dzwonków elektrycznych, gromochronów i t. p.

Handel i fachowy warsztat welocypedów.

Gen. zastępstwo kołowców i automobili

„Falke.“ 470

Żarty wyprasza się!

Kawaler. Polak, 24 lat liczący, katolik, prowadzący korzystny interes na Górnym Śląsku pragnący się ożenić z Polką, szuka na tej drodze dla braku znajomości pań

towarzyszki życia.

Łaskawe rodaczki, w wieku 18 do 22 lat, posiadające 3—5000 marek majątku, mające chęć reflektować na niniejsze ogłoszenie, niech z całem zaufaniem raczą nadesłać w ciągu 14 dni łaskawe oferty wraz z fotografią, która zostanie zwróconą p. lit. M. J. 653 do Eksp. „Pracy“. 653

Za ścisłą dyskrecyą ręczy się honorem.